

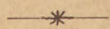
Biblioteka
U. M. K.
Toruń

~~02048/212~~

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Wartości Jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

WIE: Z przesyłką pocztową:

roczny rs. 10	} Ręcznie (52 tomy) rs. 12	
połroczny „ 5		} Półrocznie (26 tomów) „ 6
kwartalny „ 2 kop. 50		} Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Do każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ

... (za 52 tomy) rs. 6 kop. —
... (za 26 tomów) „ 3 „ —
... (za 13 tomów) „ 1 „ 50

adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski

Biuro: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670.
Biuro: Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Biuro: A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

[Kleine Slovinska Biographie 5.99] 0

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 212

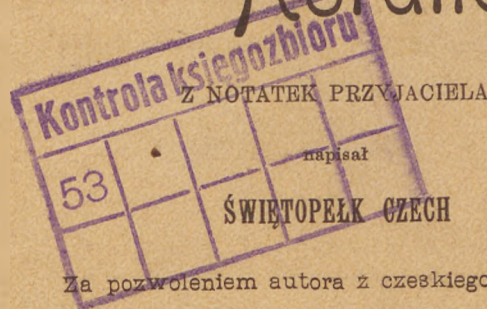
02048/1212

[Čech Svatopluk]

Jastrzáb

CONTRA

Hordliczka.



Za pozwoleniem autora z czeskiego przełożył

Paweł Laskowski.

Wojewódzki Dom Kultury
w Katowicach.

Cena 40 kop.
W pren. 30 1/2 kop

WARSZAWA
Redakcja i Administracja
47. Nowy-Świat 47.

1901.



385

JASTRZĄB CONTRA HORDLICZKA.

Świętopęk Czech.

Jastrząb contra Hordliczka.

Z NOTATEK PRZYJACIELA

ZA POZWOLENIEM AUTORA Z CZESKIEGO PRZEŁOŻYŁ.

Paweł Laskowski.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

A T. Jezierskiego

47. Nowy-Swiat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Декабря 1901 года.

02048



1226130

Книжка
владельцу
К. М. М. М. М.

2.1100/59

Okoliczności zmusiły mnie do zajmowania się przez czas jakiś pewną registraturą.

Od tego czasu nie zazdroszczę żadnemu registratorowi.

Jego życie podobne jest do fascykułów, któremi się zajmuje: dzień układa się na dniu, jak arkusz na arkuszu, każdy jednakowo bezbarwny i suchy i żaden nie zbacza nawet o cal z przepisanej urzędowej formy.

Ale mimo to miałem przy swoim nudnym zajęciu chwile cichej rozkoszy.

Były to mianowicie chwile, kiedy się znajdowałem w registraturze sam i mogłem się nią zajmować na swój sposób.

Miejsce było nie bez powabu.

Sprzęty tej świątyni *juris* tworzyły tylko trzy olbrzymie skrzynie, których czoła były ozdobione szykami kodeksów w uniformie ze świńskiej skóry, składowana drabinka i kika starożytnych obrazów w okrągłych czarnych ramach.

Cały pokój był pogrążony w tajemniczym mro-

ku, który się przy staranniejszem badaniu przedstawiał jako mieszanina cienia i kurzu. Tak, kurz pokrywał tu wszystko, jak śnieg zimowy pejzaż.

Małowidła ścian ginęły pod siwemi całunami kurzu; kurz ważyła zakurzona bogini sprawiedliwości, stojąca na środkowej skrzyni; w zawiejach kurzu tonęły książki pod nią; oblicza starych prawników w okrągłych ramach pociły się kurzem, którego się niemało nałykały za życia; jak fantastyczny utwór kurzu wyglądała zwiędła na oknie rezeda, a szkło okien zasłonięte było gęstą mgłą kurzu, tak, że się przez nie tylko z trudem przebijały smugi blado-żółtego światła, ożywione wirującym kurzem i kreślące na podłodze dziwnie pokręcone obrazki starożytnych ozdobnych kratek.

A kiedy się różnym ruchem mych rąk otworzyły drzwi niektórej skrzyni, jakież się tu szczególnie życie makulatury przedstawiało mym oczom!

Jakby ze strachu zadrżały okładki fascykułów, kurz wirował w przegródkach, wystraszone pająki uciekały w najtajniejsze zakątki swej przędzy, a tu i owdzie zatrzepotał się lekliwie mól, delikatny motylek registratury.

O, boska estetyko przyrody!

Ty, która posadziłaś błyszczącego kolibra na ognistym kwiecie tropicznego lasu, któraś otuliła kosmatym śniegiem polarnego niedźwiedzia, a szarego dropia puściłaś wśród szarych, nieskończonych pól, dałaś także królestwu starego papieru szczególnego motylka, wyciąwszy mu skrzydełka z najcieńszej ma-

sy papierowej i posypawszy go najdelikatniejszym kurzem foliałowym.

Z początku, prawda, brałem z niechęcią do rąk te pliki papieru, którego treść mnie, nieprawnika, bardzo mało zajmowała. Ale stopniowo ginęła we mnie ta niechęć i w końcu umiałem się niemi dobrze bawić.

Sposób, w jaki się to stało, jest dość zajmujący.

Dajmy na to, że Cię, kochany czytelniku, przymusiła jakaś nieprzyjemna afera uciec się pod skrzydła przyjaciela—prawnika.

Wstąpiłeś z widocznem podrażnieniem do kancelaryi i przeklinałeś w duchu poprzednika, który swoją poradę z adwokatem, o jakieś nieznaczne interesy, przeciągał w nieskończoność. A kiedy się nareszcie dostałeś do gabinetu prawnika, to przedstawiałeś mu z moralnem rozgoryczeniem, przypuśćmy, że niezupełnie bezpodstawnem, bezprawie, którego się na osobie twojej dopuszczono, nie wahając się odstąpić nie jedną skrytą stronę swojej istoty i swego życia.

Prąd wymowy twojej przerwał adwokat grzecznem pytaniem o nazwisko i napisał je czerwonym ołówkiem na czele złożonego arkusza.

W tej chwili właśnie skończyłeś w kancelaryi swoją rolę człowieka. Stałeś się fascykułem, zeszytem, a może tymczasem dopiero zarodkiem fascykułu, ale zarodek ten miał już wszystkie warunki nie-

zależnego życia w sobie i rozwijał się dalej sam przez się.

Ty wszakże, jako myśląca i czująca istota ludzka, przestałeś dla kancelaryi egzystować. Imię twoje budziło tam tylko obraz mniejszej lub większej pliki papieru, wypełnionego różnemi formułami prawniczemi.

Z biegiem czasu tyłeś w oczach, tak, że ci musiano sporządzić tekturowe okładki i owiązać silnym szpagatem. A im więcej tyłeś jako fascykuł, tem głębiej zapadała i niknęła twoja ludzka postać, twoje indywiduum.

I kiedy się już z adwokatem zupełnie rozłączyłeś, kiedy się nawet ulotniłeś z pamięci wszystkich pisarzy kancelaryjnych, prowadziłeś w registraturze żywot swój dalej jako skończony proces aż do naturalnego końca w kurzu i molach.

Pod memi rękami przebiegły fascykuły ten przebieg swego żywota w przeciwnym kierunku.

Z początku zwracałem uwagę jedynie na ich grubość i wagę. Szczególniej wzbudzały we mnie ciekawość cienkie. Szukałem zwykle z jakimś patologicznem zajęciem przyczyn, które przeszkodziły ich wzrostowi.

Później interesowały mnie piękne napisy kaligraficzne.

Potem zacząłem sympatyzować z niektórymi imionami dla ich szczególności, albo innej przyczyny i nareszcie wyobrażałem sobie w nich osoby.

Z fascykułów występowały żywe osoby.

Widziałem je, jak mówią adwokatowi sporne dzieje swych procesów, śledziłem różne wyrazy, zmieniające się przy tem na ich twarzach, i wychodziłem z nimi nareszcie z dusznej kancelaryi na świeże powietrze życia.

Grzebiąc się w zapleśniałej treści fascykułów, przedstawiałem sobie żywe drzewo, z którego opadła garść suchych liści. A jak sobie geolog wywołuje z prostych warstw węgla kamiennego obraz lasu przedpotopowego, tak ja wywoływałem sobie dzieje życia ludzkiego z tych warstw szarego papieru, w których się niejasno odbiły.

Daję tu wam właśnie historję, której dzieje czerpałem z zapleśniałych fascykułów i której najsłabszemi miejscami są naturalnie te, które jakimkolwiek sposobem dotyczą wzniosłej wiedzy prawniczej, zapieczętowanej dla mnie, laika, siedmiu pieczęciami.

Wprowadzam was właśnie do pana Jastrzębia w chwili, gdy składa ofiarę Larom swego cichego domostwa.

Jego sypialnia jest w tej chwili ramą miłego obrazka rodzinnego.

Wszystko się tu łączy, co tylko może uprzyjemnić zimowe poobiednie godziny: na dworze gęsta śnieżna zawieja, na oknie mech i papierowe ozdóbki, miły półmrok wewnątrz, czerwone, migocące blaski na podłodze przed piecem i wysoko usłane łóżko z rozchylonemi zasłonami w kącie.

Przy oknie mała, płowowłosa córeczka pana Jastrzębia robi pończochę, śledząc okiem rozkoszne komieczne ruchy szarego kociaka, igrającego z kłębkami na podłodze.

Przy nogach pana Jastrzębia przewraca smukły chłopczyzna zabrudzone karty jakiejś książki obrazkowej, a dziecinne jego gawędzenie mile się łączy z tykotaniem starożytnego zegara i trzaskaniem drzewa w piecu.

Pan Jastrząb sam odpoczywa w błogim spokoju w głębokim fotelu, z wyszywaną czapeczką na głowie, w pstrym, luźnym szlafroku i wypuszcza chwilaми jednym kącikiem ust białawe obłoczki dymu, podczas gdy drugi mocno ściska cybuszek taniej porcelanowej fajki.

Ale spokój pana Jastrzębia nie jest zupełny.

Trzyma on w jednej ręce warstwę papierowych prążków i odsuwa palcem jedną kartkę po drugiej, śliniąc czasem palce z półgłównymi uwagami. Przytem mienia się na jego twarzy wyrazy gniewu i spokoju.

Z bajeczną szybkością przesuwiał w palcach te stemplowane prążki papieru. Prawdopodobnie nabył wprawy w tej czynności przez częste ćwiczenia.

Palec jego był podobny do palca fałszywego gracza, który pokazuje w przelocie kolory kart.

Pan Jastrząb także poznawał z migocących brzegów całą treść swych kartek. Czasem zatrzymy-

wał się palec jego na kartce, oczy spoczywały dłużej na cyfrach i rękopisach, a z ust wybiegały uwagi: „jutro do notaryusza!—odnowić stempell—zajrzę w książkę!—tym sobie pewno zapalę fajkę!—na ciebie, panku, musimy iść z nożem!”

— Tatusiu, dlaczego Kopciuszek miał tak małą nogę? — pytał chłopiec, siedzący przy nogach pana Jastrzębia, podnosząc na niego swe wielkie, jasne oczy...

Ale tatuś mało kłopotał się o podobne drobiazgi, jak noga Kopciuszka. Milcząc, czynił dalej przegląd pstrego pułku, który się tam na dworze bił i krwawił w walce życia, gdy on wygodnie zagarniał wojenne łupy. Miał ich wszystkich w garści w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Podczas gdy przesuwiał palcem te kartki, migotały się między niemi, jak w obszernym albumie, podobizny najróżnorodniejszych ludzi: siwowłosi panowie w czarnych surdutach, teatralne księżniczki, niezgrabni wieśniacy, strojni dandysi, zakłopotani przemysłowcy, weseli birbanci, poeci...

— Tatusiu, czy doczekamy się sądneho dnia?—szczebiotał chłopczyk.

— Dlaczego?—zapytał pan Jastrząb zamyślony, nie wiedząc nawet o co go pytano.

— Chciałbym widzieć gwiazdzisty deszcz.

Nie wiem czy byłby ten gwiazdzisty deszcz zyskał więcej u pana Jastrzębia, niż Kopciuszkowa nóżka; w tej chwili bowiem skrzypnęły drzwi i uwaga mego

bohatera zwróciła się ku osobie, która weszła do pokoju.

Była to Marta idylicznego mieszkania pana Jastrzębia, zajmująca jakieś wahające się stanowisko między służącą a gospodynią. Zresztą cała jej postać była jakaś wątpliwa, nieograniczona. Już wiek jej sprawiał kłopot w określeniu; rzekłbyś, że nie jest ani stara, ani młoda, ani w latach średnich. Twarz jej była o niewyraźnych rysach, lekki biały owal, wargi blade, oczy wylękle i jakby na zawsze olśnionie zbyt silnem jakimś światłem; jasno-rude jej włosy, bez połysku, spływały zawsze dowolnie koło głowy i ocieniały kilku oddzielnemi spletanemi kosmykami wysokie czoło, które wyglądało z pod nich jak blade księżyc z pod pręgów szarych obłoczków. Toaleta jej zdaje się nie przekraczała nigdy prostej kretonowej sukni, koszuli i białego nocnego kaftana; te dwa ostatnie były pod szyją zwykle nad miarę rozchylone.

Kto zwrócił uwagę na jej ciągle skurczone ramiona i trzęsące się ręce, musiał sądzić, że jest jej wiecznie zimno.

Co się nareszcie tyczy jej strony duchowej, ustaliło się przekonanie, że za tem białem, wysokiem czołem nie było wszystko w porządku.

Ta kobieta wsunęła się do pokoju i rzekła stłumionym, bezdźwięcznym głosem:

— W przedpokoju czeka jakiś pan.

Pan Jastrząg szarpnął się niekontent i wypuścił

na nią cały obłok dymu, jakby chciał dmuchnięciem tem odrzucić tę, co mu przerywała miły spokój rozmowy.

— Czy nie czytał na drzwiach, o których godzinach udzielam audyencji?—zerwał się na nią i spokojniejszym głosem dodał:—czegoż chce?

— Powiedział mi, ażebym oznajmiła inspektora Hordliczkę.

— Aa, pali się! — mruknął pan Jastrząg z gryzącą ironią, wstając powoli z fotelu. — Zobaczymy, czy pieniądze przychodzą tak prędko z powrotem, jak odchodzą. Zaprowadzić go do pierwszego pokoju...

Tu złożył kupę kartek, któremi się bawił, w przegródce staroświeckiej skrzyni, zamknął ją i sięgnął ręką po wiszący na wieszaku świąteczny surdut. Ale cofnął rękę, skrzywił pogardliwie usta i tylko ściągnął trochę sznurek szlafroka.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał tam już anonowanego gościa.

Był to pan dość stary, z którym się wszakże czas obszedł dosyć miłosiernie. Wyglądał prędzej na młodego aktora w roli starego gentlemana. Szczupła, wątła jego postać nie straciła na swojej równości, a głowa pięknie ukształtowana, hardo wznosiła się dotąd w biurokratycznej martwocie ze sztywnego z ostrymi końcami koinierza od koszuli. Śnieg, którym zima żywota posypała delikatny i miły skądzierzony jego włos, wyglądał raczej jak lekki puder na

WYDAWCA
Książnica
Wydawnicza

koafurze młodego eleganta z ubiegłego stulecia. Choć podługowate oblicze złożyło się w liczne drobne zmarszczki, zachowało dotąd delikatną białą skórę i ślady szlachetnej piękności, najmniej wszakże dotknął się czas zgrabnej jego ręki; ta zadowolniłaby każdą arystokratkę.

Kostium pana Hordliczki, choć wyszedł z mody, świadczył o smacznym wyborze i ścisłym doglądzie, który się wszakże okazał bezsilnym wobec morowego tchnienia starości, wobec czego, choć dotąd nieznacznie, blade brzozy czarnego surduta, wędzły bujne ozdoby batystowe na piersi i żółte kołnierze bielutkich, drobno składowanych mankietów, jak płatki białej róży po pierwszym mrozie.

Taki człowiek stał nieśmiało przed panem Jastrzębiem.

Ten ostatni powitał go swoim prostym, niezgrabnym ukłonem, który tworzył silny kontrast wobec delikatnych i wygładzonych manier gościa i rzekł, obrzuciwszy swój szlafrok i pantofle niedbałym spojrzeniem:

— Racz pan wybaczyć, że go przyjmuję w tym kostiumie. Nie spodziewałem się, że...

— O proszę!

Siedli naprzeciw siebie.

Delikatna twarz pana Hordliczki oblała się lekko rumieńcem. Oczy jego spoczywały z lekkim napięciem na twarzy pana Jastrzębia. W oczach tych, zdawało się, była wpisana tragedia jego losu, z której wyszedł niemal nietknięty.

Takie oczy budzą we mnie zawsze głębokie współczucie,

Są to oczy tych, którzy zostali straceni nagle przez los z wyżyn dostojności i dobrobytu w głębie nędzy i zapomnienia. Są to oczy tych, którzy spacerują najczęściej o zmroku w odległych ulicach, z pochyloną głową, mijając starych znajomych i ściskając kurczowo białe złożone rękawiczki, jakby przez to chcieli odwrócić uwagę przechodzących od reszty swej toalety.

W oczach takich odbija się żal za lepszą przeszłością, odmawianie sobie, nieufność ku samemu sobie, nieustanny strach przed obrazą i wysmianiem. W płochych tych oczach zwierciadli się złe sumienie, jest to świadomość bladej brzozy surduta, żółciejących mankietów i tym podobnych występków, kryjących się w różnych zagięciach odzienia, o których reszta świata niema może nawet pojęcia, których nie przypuszcza nawet.

Teraz wszakże miały oczy pana Hordliczki tylko wyraz lekkiego, na pół beznadziejnego napięcia.

— Żałuję bardzo—mówił pan Jastrzęb po chwili milczenia, pasąc przytem wzrok zupełnie zmiażdżonym swoim *vis à vis*—żałuję bardzo—powtórzył z wyrafinowaną okrutnością—że panu już wczoraj usłużyć nie mogłem.

Pan Hordliczka odetchnął głęboko, a wzrok jego błysnął radośnie.

— Kasa moja była zupełnie pusta. Czasy są złe. Ale udało mi się zebrać tyle, abym żądaniu pana mógł uczynić zadość.

Pan Hordliczka spojrział nań z nieudaną wdzięcznością.

Całym swem spojrzeniem okazywał mu, że go uważa za człowieka prawdziwie szlachetnego i że go prosi o przebaczenie, jeżeli wstąpił do gościnnego pokoju z jakimś moralnym uprzedzeniem. A pan Jastrząb w tej chwili przedstawiał rzeczywiście obraz, którego prostota musiała oczarować każdą myśl niezepsutą: siedział majestatycznie w fotelu, przebie-
rając ręką we włosach swego synka, który się za nim wkradł z sypialni i główkę na piersi jego położył, z drugiej zaś strony igrało sobie szare kocie z rogiem jego szlafroka, na którym była wyszyta ładna arabeska.

Obraz ten wzbudził bezwiednie zaufanie pana Hordliczki.

— Nie byłbym się nigdy zdecydował na krok podobny — zaczął i żywszy rumieniec ozdobił jego lice — gdyby mnie do tego nie przymusiła prośba syna. Bawi w Konstantynopolu.

— Tak daleko? — wyrzekł pan Jastrząb z lekkim odcieniem ironii.

— Tak, w Konstantynopolu. Jest tam urzędnikiem przy austriackim Lloydzie. Przypadkowo znalazł się w kłopotach pieniężnych.

— Rozumiem, jestem także ojcem — rzekł pan

Jastrząb i, jakby na potwierdzenie, przycisnął synka swego do piersi.

Pan Hordliczka wyjął z kieszeni świeżo napisany blankiet, na którym trzeszczał piasek, i podał go, milcząc, panu Jastrzębiowi.

Ten przejrzał pobieżnie obie strony kartki, kiwnął spokojnie głową i podszedł do ciężkiej szafki w kącie.

Po chwili leżał przed panem inspektorem długi rząd pieniędzy papierowych.

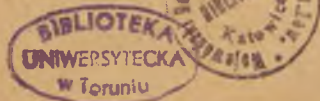
Oczy jego przeleciały po nich z jakimś uszanowaniem, a w ręce jego znalazła się mała, wygnieciona portmonetka, która przy całej swej chudości nie zdawała się zdolną zmieścić tego papieru w spleczonych swoich wnętrznościach.

Dużo czasu użył pan Hordliczka, nim wepchnął niepraktycznie złożone banknoty do różnych jej przegródek.

Tej chwili użył pan Jastrząb, aby się krytycznie dotknąć kwestyi o synu w Konstantynopolu. Jego zdaniem, nie potrzebował pan Hordliczka przyodzabiać swojej zmyślonej historii wierchołkami pinii i smukłemi wieżyczkami minaretów.

— W Konstantynopolu austriacki Lloyd prowadzi zapewne biuro w języku tureckim? — zapytał.

— O nie, we włoskim — odpowiedział pan Hordliczka z roztargnieniem, zamykając pugilares. — O, Konstantynopol, to piękne miasto! Gra światła



przy zachodzie słońca jest tam bajecznie wspinał!

Po tej obronie swojej teorii żegnał się pan Hor-dliczka, przyciskając rękę kurczowo do serca, na którym spoczywał pugilares, i zapewniając, że za miesiąc w tym czasie napewno powtórzy swoją wizytę...

Pan Jastrząb zaś wrócił z pogardliwym uśmiechem do swej sypialni, aby tam składać dalej ofiary Penatom swojego cichego domostwa.

Ujmując się w duszy za panem Jastrzębiem przeciwko krótkowidzącym moralistom, siedł pan Hor-dliczka do domu.

Zanim was zapoznam z jego teraźniejszemi stosunkami, podam tu w streszczeniu jeden z rozdziałów jego życia.

Pewien bogaty szlachcic starożytnego rodu, miał raz na rok szczególny romantyczny napad,

W tym czasie mył sobie starannie rękę którą spoliczkował swego koniuszego, opuszczał codzienne wieczorowe partye szachów ze swoim sekretarzem, klękał ostentacyjnie przed krucyfiksem ze słońskiej kości w domowej kapliczce i rozmawiał nadzwyczaj poważnie z pewnym podstarzałym szlachcicem, któremu udzielał już dziesiąty rok gościnności dla jego szczególnego komizmu.

W porze tej stawał się odludkiem.

Opuszczał teatr, klub, metresę i wyrzucał sobie wszystkie ustępstwa, które poczynił niwelującemu prądowi czasu.

Oddawał się wyjątkowo rozmyślaniom o wzniosłości i starożytności swojego rodu.

Raz zagruchotał na podwórzu najstarszy powóz z remizy, a szlachcic nasz siadał ze swoim komicznym towarzyszem do tego powozu, obitego czerwonym wyblakłym aksamitem, ze starami złożonemi ozdobami.

Jechali wśród uroczystego milczenia rozstawnemi kołmi, aż powóz zatrzymał się nareszcie na murawie podwórza starożytnego zamku, pośród lesistej, górzystej okolicy.

Było to pierwotne siedlisko sławnego rodu.

Tu czerniała jeszcze zębata okrągła wieża, z której przed wiekami bohaterski praojciec drogę w dali między górami się ciągnącą czynił straszną, tu błyszczały dotąd resztki szkła kolorowego w gotyckiem oknie do połowy zrujnowanej kaplicy, w której odbywał nabożeństwo. A wkoło tego zwietrzałego środka skupiały się późniejszymi czasy w malowniczym nieładzie wieże, budowy i przystawki, różniące się stylem i przedstawiające w całej skali odcieniów przejście z szarego starożytnego świata aż do czasu najnowszego.

Całość była jakby stworzona na tło romantycznej baśni.

W tem gnieździe swych przodków bawił nasz szlachcic kilka tygodni w oczyszczającym go i podnoszącym oddech przeszłości, który wiał z każdego kąta tych połowicznych ruin.

Z dumą oprowadzał swego towarzysza po szeregu starych komnat, pokazywał mu z chlubą podziemną głodomornię z kupą kości na dnie i z wydrapanymi napisami na spleśniałych ścianach, pieścił uszy tłumionym odgłosem, który wzbudzały jego ciężkie kroki w długich korytarzach i drapał się kręcącymi schodami aż na szczyt najwyższej wieży, aby się polubować zachwycająco piękną okolicą.

Potem znów błdził w pustym parku, z którego był jego perukowy dziad wygnał przyrodę nożycami i do którego ta ostatnia znów zwyczajko wjeżdżała, mówiąc o błogich tajemnicach pewnej altany chińskiej, a komiczny jego towarzysz szedł uczciwie za nim, wkładając co chwila w poły swego staroświeckiego surduta purpurowy kwiatek weroniki, którą napróżno ukrywała zazdrosna murawa, z elegijnym westchnieniem do kieszeni.

Ale po jakimś czasie czynił pewien, z estetycznego stanowiska naturalnie zupełnie odpowiedni, ruch ręki w kierunku ust, aby przerywać wykłady naszego szlachcica nad malowanym rodowodem w sali rycerskiej, wśród poważnych portretów przodków, a podstarzały towarzysz poznawał z żalem, że gospodarz jego znajduje z każdym dniem nowy szczegół jego komicznej strony, aż go nareszcie jego protektor poklepał z głośnym śmiechem po ramieniu:

— No, cóż, panie rycerzu, jutro pojedziemy ¹⁾.

¹⁾ Tytuł szlachecki, używany obecnie przez niektóre narody zachodnie.

(Przyp. tłóm.)

Rycerz kiwnął głową i odjechali.

Przed odjazdem odbywała się dłuższa narada z panem Hordliczką i uchwalono bardzo dokładny plan ogólnej restauracji starego zamku, aby w ten sposób pozostał na sławę rodu i dla upiększenia ojczyzny ten piękny zabytek po wzniosłych przodkach.

Przez pewien czas po odjeździe zwierzchnika skracał sobie p. Hordliczka długie wieczory wykonywaniem różnych kosztorysów na podstawie uchwalonego planu i wysyłał potem swój elaborat do głównej kancelaryi, gdzie go wkładano do właściwej przegródki z napisem „restauracja zamku Supowskiego”, do której trzeba się było wspinać po schodkach drewnianych, na szczęście tylko raz na rok.

Ten kosztorys był głównym, bał nawet jedynym brzemieniem urzędu inspektorskiego pana Hordliczki. Resztę czasu w roku przyglądał się sumiennie, jak kamień po kamieniu opada z powierzonego mu zamku, jak się gałęzie drzew powoli, ale zwyczajko wkradają gotyckimi oknami do zrujnowanej kaplicy, a zielona powłoka powoli się układa na powierzchni sztucznego stawu, który drzemał ciężkim, mętym snem wpośród zdziczałego parku.

Więcej nie mógł pan Hordliczka nic „dla sławy rodu i upiększenia ojczyzny” czynić. Starał się więc przynajmniej z należytą dostojnością piastować swój urząd. A to udawało mu się zupełnie. Reprezentował jakoby rzeczywistego właściciela zamku, związanego tylko wolnymi pętami wasała do tytularnego

zwierzchnika, który przyjeżdżał co czas jakiś dla odebrania należnego hołdu. Podczas reszty czasu wogóle podlegał stary zamek nieograniczonej jego władzy.

Rodzina jego używała przez ten czas wszystkich pomieszczeń i powabów starożytnego zamku do woli. Na długim stole sali rycerskiej suszyły się ziola; słoje z gotowanymi owocami przeglądały z za krat gotyckich okien; goście pana Hordliczki wstępowali po schodach toczonych do wysokich komnatek i kładli się w dziwnie rzeźbione łóżka pod baldachimem z wytartego adamaszku; pani Hordliczkowa czytała sentymentalne romanse na wietrznym, wysokim balkonie, córki jej woziły się w starym zbutwiałym czółnie po zielonej powłoce stawu do chińskiej altany, a marzący syn siadał w kąciку starej kaplicy, otoczony jak pajak tęczowymi niemi swojej fantazyi. Zrosłi już całym sercem z tem kamiennym gniazdem, a stary Hordliczka był zawsze pewien, że złoży swoje kości obok kości poprzedników swoich pod cyprysami w odległym miejscu parku, w ucziwem oddaleniu od mauzoleum, w którym spali wiecznym snem właściciele zamku.

Ale los postanowił inaczej.

Pewnego roku przyjechał stary hrabia niezwykle późno, gdy liście drzew w opustoszałym parku zaczynały się barwić chorobliwym rumieńcem jesieni—przyjechał w czarnym uwieńczonym wozie, w towarzystwie czarno ubranych panów i łzawiących dam, przynoszących z sobą dziwnie zwodniczy kontrast czarnych pogrzebowych ubiorów i śnieżnej białości

lic i koronek. W kondukcie tym nie brakowało nawet komicznego rycerza. Położyli starego pana między przodkami, obejrzeni sobie głodomornię, pochwalili widok z wieży i rozjechali się znów. Tylko komiczny stary szlachcic zatrzymał się jeszcze dzień i chodził zamyślony drzemiaczami korytarzami, błądził po parku, w którym nie rumieniły się już kwiatki pod żółtymi liśćmi, i siedział nareszcie długi czas na progu zawalonego pawilonu chińskiego, którego dziurawa strzecha usłana była żółtymi i czewonawymi liśćmi, opadłymi z dumających wierzchołków drzew. Tak siedział tu jak odpowiedni *staffage* na obrazie ogólnego smutku i pochylał głowę z twarzą wilgotną w dłoń.

Wiedział, że siedzi tu po raz ostatni. Następca hrabiego, daleki krewny, nie umiał ocenić komizmu biednego rycerza.

Ale i Hordliczka stał się ofiarą tego przewrotu. Nowy właściciel sądził, że zamek Supowski i pod dozorem samego odźwiernego z równą konsekwencją rozpadać się będzie, i oddalił pana inspektora z dość skromną emeryturą.

Wiadomość ta była dla całej rodziny piorunem z jasnego nieba. Nie mogli nawet wyobrazić sobie, że się będą musieli rozłączyć z temi szaremi ścianami i dzikim parkiem, z tem wszystkim, co za swoje już uważać nawykli, że już nigdy więcej nie ujrzą zachodu słońca z tego pysznego balkonu i nie usłyszą, siedząc wieczorem pod omszonym Satyrem kamiennym, pienia słowików w gęstych krzakach tego

parku, że wszystko to stanie się dla nich obcem i że się stali na świecie samotnymi, opuszczonymi.—Ale cóż robić! Obejrzeni się po raz ostatni na zębate mury z wieżami, w świetle zachodzącego słońca zagrały resztki kolorowych szyb w oknach starej kaplicy, a łyzy, które przy tem napełniły ich oczy, były zupełnie nieurodzajne.

Przeprowadzili się do głównego miasta i najęli sobie w jednej z najwyższych jego części mieszkanie o trzech pokojach, pięknym salonie i przedpokoju, z widokiem na ulicę.

Ale po roku uznano na rodzinnej naradzie, że mieszkanie to ma liczne wady. Lokatorzy trzech wyższych pięter nie prezstają chodzić około drzwi, na schodach wygląda jak w zajezdzie; każdy inny przechodzień zatrzymuje się tu, ażeby usłyszeć część żywego dyalogu pani Hordliczkowej i jej kucharki, albo ujrzeć białą sylwetkę panny Ireny w porannym negliżu, w różowych pantofelkach na bosej nóżce; pułap całego mieszkania jakby był rezonansowem tłem, które oddaje wszystkie odcienia humoru groźnych lokatorów różnem tempem kroków; dołączmy do tego bezustanny turkot powozów na ulicy, ciekawość mieszkańców z przeciwnego domu i nareszcie szwajcara w bramie, któremu nie zadrga ani jeden nawet rys na głupio nadętej twarzy, kiedy pani Hordliczkowa przechodzi obok niego;—oto przyczyny, które zmusiły rodzinę Hordliczków do wyszukania sobie innego, bardziej cichego gniazdka.

Przeprowadzili się w bardziej malowniczą i ci-

chę cześć miasta, na trzecie piętro dziwnej trzypiętrowej budowli. Tu zamieszkali ładny salonik i dwa ciemne pokoje, właściwie tylko te ostatnie, bo do saloniku nie pozwalała pani Hordliczkowa nikomu wchodzić bez ścierki lub miotełki w ręce. Żaden hałas, żadne ciekawe spojrzenie nie przerywało tu uroczystej ciszy ich zakątka.

Widok ukazywał po jednej stronie romantyczną okolicę z długimi, różnie krzyżującymi się grzbietami strzech, z lasem smukłych kominów, pełną przepaści i wgłębień, któremi biegły podczas dżdżystej pogody wartkie prądy w niedoścignioną przepaść, po drugiej zaś stronie mieszaninę kamiennych, czarnych gotyckich obłąków i filarów, między któremi skamieniały wśród ruchu podobizny rozmaitych potworów — bok prastarego, w ciżbie sąsiednich strzech zupełnie prawie zacieśnionego tumu.

W jednym z obu pokoi znajdujemy rodzinę panna Hordliczki przed przybyciem głowy domu.

Jak zwykle, mówią o kochanym nieobecny.

Panna Irena opuściła rybackie czółno, w którym jakiś bohater Bulwera wyznawał miłość swojej bogini i mówiła ziewając:

— Z ojcem jest bieda! Napewno siedzi gdzie w kawiarni, myśląc niech się kłopotczą sami. Będę miała jutro ładne imieniny!

— Ty myślisz tylko o sobie — odrzekła matka.—Najgorsze to, że będziemy mieli wizyty. Byłoby straszne, gdybyśmy nie mieli nawet na nędzny tort.

— Dlatego, że mama sama winna. Na co leży srebro w komodzie, jak zaklęty skarb?

— Czyż mam ci stale powtarzać, że go nie tknę, choćbym ostatnią suknię sprzedać miała! Tak ciężkiego grzechu nie dopuszczę się nigdy przeciw pamięci swego ojca, abym herb naszego rodu — pani Hordliczkowa pochodziła z Podwalskich — weisnęła w rękę handlarza starzyzną. Wreszcie, któżby to zaniósł? Chybabyśmy się nie poniżyli przed służącą, więc czy miałabym iść ja, czy ty?

— Julaby poszła.

— Próżne słowa. Wiesz dobrze, że tej kwestyi nie lubię. Całe nasze nieszczęście zależy od tego, że nie mamy w domu praktycznego mężczyzny. Gdyby się ojciec naprawdę zaczął starać, musiałby dostać jakie miejsce. Ale tak, kończy się wszystko na pięknych planach. Raz marzy o zarządzie stacyi na Węgrzech, drugi raz o synekurze w Tyrolu, a tymczasem siedzi wiecznie na miejscu i boi się wyjść między ludzi. A synowie—jak ojciec. Włodzimierz błaka się po świecie bez celu, a Jaro spędza za piecem czas drogocenny.

— Z nim trzeba się obejść inaczej. Niech się uczy rzemiosła, kiedy mu łacina nie pachnie! — rzekła Irena i wróciła do łodzi rybackiej, która ją znów ukołysała do snu o szczęściu i miłości.

Nieprzyjaciel łaciny nie ruszył się nawet przy miażdżącym wyroku matki i siostry. Wyrok ten był po części sprawiedliwy. Przygotowania pana Jarosława do ciężkiej walki życiowej były bardzo ogra-

niczone. Choć nie spał cały dzień, jak się o nim matka wyraziła, znajdował się jednak w pewnym stanie, który był bardzo bliskim krewnym snu; siadał sobie na uboczu, podpierając dłońmi delikatną i białą twarz, bez wyrazu wewnętrznych wrażeń, słabo tylko oświetloną jakimś światłem wewnętrznym. Powieki najczęściej zamykał, a kiedy z pod nich wyjrzało wielkie czarne oko, nie patrzyło w świat, ale w jakąś tajemniczą czarowną przędzę, którą przędła jego chłopięca wyobraźnia około niego, a w której tylko słabo odbijały się rysy rzeczywistości.

W tej chwili stał przy oknie, spoglądając na las czarnych gotyckich filarów na boku starego tumu. Lecz cóż tam widział? Oto wszystkie te dziwne postacie kamienne nabywały życia, wspinały się w górę po kamiennych ozdobach i czołgały się po wietrznych obłakach; smok z boku rozchylił swoje pośniężone skrzydła i wznosił się swobodnie w górę, czarnoksiężnik obracał kartki kamiennej książki, dyabeł oparł ręce o gzyms i wysiłał się uwolnić szyję z pod nogi anioła, grzesznica, wyrrywająca sobie włosy, zmieniała się w miłe dziewczę, które do marzyciela woknie z miłym uśmiechem wyciągało ramiona.

Oprócz wymienionych, znajdowały się w pokoju jeszcze dwie osoby. Były one od reszty oddzielone wysokim parawanem, oblepionym różnemi obrazkami. Na łóżku za parawanem leżała staruszka. Była to matka pani Hordliczkowej. Pod głową miała kupe poduszek, tak, że jej wierzchnia część ciała była napoty wyprostowana. Dziwnie się różniła od śnieżnej

białości poduszek z delikatnymi ząbkami wokoło zwiędła, żółta twarz, poorana, jakby nitkami, mnóstwem delikatnych zmarszczek; ale mimo to nie zginęły z pooranej twarzy ślady byłej piękności, a jakiś wspaniały, dostojny wyraz czynił ją podobną do oblicza umierającej królowej, co podwyższał staromodny dyadem ze szklanych pereł, które błyszczały nad jej czołem w potarganych włosach, siwych jak śnieg. W głowach łóżka siedziała na stołeczku młoda dziewczyna lat szesnaście mieć mogąca, i przyszywała białą różyczkę do białego balowego pantofelka.

Właśnie Irena wystąpiła z rybackiej łódki na kwiecisty brzeg i powróciła do rzeczywistości z uwagą:

— Zobaczycie, że ojczulek przyjdzie aż po północy, aby nie musiał...

Gdy wtem odezwał się za drzwiami znany krok pana Hordliczki.

Za chwilę ukazał się we drzwiach promieniejący, ale musiał zaraz powrócić do przedpokoju dla oczyszczenia butów i otrzepania śniegu ze swego odzienia, co w radosnem wzruszeniu uczynić zapomniał.

Gdy wrócił, utkwili na nim oczy małżonki i córki w napiętem oczekiwaniu.

Lekko zarumieniona jego twarz i błyszczące oko przepowiadały wszystko dobre. Ale oczekiwanie ich przeszła pełność jego pugilaresu i ilość niepraktycznie złożonych banknotów, które pan Hordliczka w długie szeregi z tryumfem na stole układał. Nie trzeba chyba dodawać, że widok ten podniósł autorytet ojcowski, tak kwestyjonowany przed chwilą, i że mu

zapewnił na dzisiejszy wieczór w rodzinnem kółku honorowe stanowisko.

Niezadługo po jego powrocie siedzieli wszyscy, z wyjątkiem chorej staruszki, przy okrągłym stole, zastawionym dobrą kolacją i znajdowali się w spokojnem, wesołem usposobieniu, jak zwykle przy swoich rozprawach. Rozprawa toczyła się około tortu, który miał się stać chlubą dnia jutrzejszego. Uznano, że dla Ireny jest potrzebny koniecznie czarny jedwabny wachlarz ze złotym haftem i damski zegarek. Ojcu rodziny darowano, że się dziś szczególnie chylił do Polski z niezbadanych dotąd przyczyn.

A kiedy po kolacyi dymił się wonny poncz w wysokich szklanicach, przyszła kolej na miły, stale zajmujący ich przedmiot rozmowy, na utracony raj Supowski. I Jaro i cicha Jula brali udział w tej rozprawie. Tylko ojciec nie myślał dziś o zamku Supowskim i jego okolicy, lecz zwracał się do jakiejś wilgotnej i lesistej, pełnej zadumy okolicy, z dworem na pagórku, w którym błyszczy w ciepłej izbie czerwona lampa przed obrazem Maryi Panny Częstochowskiej, nad parą skrzyżowanych karabeli.

Nareszcie rzekł pan Hordliczka, iż ma nadzieję niezadługo zmienić tryb życia na lepszy i że Polacy, to lud bardzo szlachetny, a krainy polskie piękne, pomimo lasów i wilków. Dalej wszakże nie uchylił welonu, którym zasłaniał swoje tajemnice.

W ten sposób po kłopotliwym dniu przygotował pan Hordliczka swojej rodzinie bardzo przyjemny wieczór.

Nareszcie wszyscy udali się na spoczynek. Pan Hordliczka czytał jeszcze w łóżku podróż do Galicji Zapa i mówił czasem do małżonki, która go dziś cierpliwie słuchała, że „zrazy” są wybornem jedzeniem, że się bardzo przyjemnie jeździ w leciutkich san-kach po zaśnieżonym lesie, gdy błądy miesiące prze-bija się z za obłoczków, a Mazur trzaska z bicza i t. p. Jaro zaś nakrył sobie lekką przegowaną kołdrą głowę i patrząc w uia, przedstawiał sobie, że leży pod falującą powierzchnią jeziora, a zielone pręgi kołdry są długimi powiewnymi zawojami igrają-cych rusalek.

W drugim pokoju pozostały same dziewczęta z chorą staruszką. Nie będę odślaniał tajemnic dziewczęcej sypialni opisywaniem powabów, które się stopniowo wydobywały z więzających je szpilek i spinek.

Zauważę tylko, że naostatku panna Irena w ko-styumie, którego opisu nie podam, choć był czarują-cy, długo oglądała w lustrze jedną z najpiękniejszych twarzy dziewczęcych, a potem, obróciwszy się na-gle na wysokim obcasiku różowego pantofelka, wy-buchnęła głośnym śmiechem.

Gdy na nią Jula spojrzała pytająco, odpowie-działa, śmiejąc się ciągle:

— Wspomniałam sobie sapowskiego nauczyciela. Pamiętasz, jak się nam przyglądał zakochanemi oczy-ma z chóru oratorium? Przypominasz sobie, jak raz zostawił w chińskiej altance wierszowane wyznanie miłości?

Jula nie odpowiedziała. Gdy się po chwili prze-konała, że siostra jej śpi, wyjęła z za gorsetu list, który szybko rozpieczętowała. Sądząc z marek na ko-percie, przychodził z Konstantynopolu.

List, który Julia przed zaśnięciem przeczytała, był następującej treści:

Droga Julo!

Listowy, który ci poda zziębłą ręką z zaśnie-żonej torby mój list, nie uwierzyłby może, że był on napisany przy otwartem oknie i osuszony ciepłym wiosennym podmuchem. Tak, mam tu już wiosnę. W tej chwili jednak wiosnę „na łonie pustych skał”, ta wążka bowiem ulica Pery, na którą spoglądam z wysokości czwartego piętra, jest bardzo podobną do głębokiego skalnego przesmyku. Z obu stron wznosi się szereg wysokich domów, których liczne balkony znajdują się tak blisko siebie, iż Julia mo-głaby tu z łatwością podać Romeowi różę przez ulicę. Wygląd tej ulicy przypomina mi poniekąd ghetto śre-dniowiecznego miasta chrześcijańskiego, w czasie, gdy księżniczka Sabath rozlewała wkoło swoją poświętną, tajemniczą poezję. Lekliwie tulą się do siebie smu-tne domy, a strach i nieufność odbija się w całej ich postaci: w grubych murach, mocno zamkniętych drzwiach i troskliwie zasłoniętych oknach. Mieszkańcy ich su-ną się po chodnikach pośpiesznym, niepewnym kro-kiem, jakby czemprędzej chcieli uciec z morza nie-

przyjaznej obezyny do swoich ark zacisznych. Ale tam uczuwają się jak zaczarowani w drogiej, dalekiej ojczyźnie. Tam zamieniają sobie przy pomocy obió, parkietów i luster kilka kwadratowych metrów w miły salonik rodzinnego miasta, w którym zapominają przy tykotaniu szwajcarskiego zegara, dźwiękach fortepianu i rodzinnej mowy, że dzieli ich tylko drobny przedział od miejsca, w którym wykonywają tańczący derwisze swoje szalone obrzędy religijne.

Czasem wyobrażam sobie straszną możliwość napaści ze strony tego mahometańskiego Rzymu na swoje chrześcijańskie ghetto, że to blisko drzemiące morze fanatyzmu dźwignie się nagle i strzyknie ze wszystkich stron do tych głębokich ulic swoją brudną pianą; że śniade, chude postacie w pstrych gałganach, z błyskawicami damascenek nad łysymi głowami, wpadną z kurczem nienawiści w rysach twarzy; że z hałasem przywalą się za nimi fale turbanów; że te mocne drzwi zaczną padać pod ciosami siekier, a zardzewiałe kraty trząść się będą pod rękami okrutników; że morderstwo i łupiestwo wpadnie do labiryntu pokoików, schodów i piwnic w tych licznych, lekliwie do siebie przytulonych domach, a sceny zgrozy napełnią te liczne mansardy i balkony, te zawrotne szczyty i dziwnej formy strzechy. Tak, nad te wysokie, pochmurne, gęsto obok siebie stojące domy Pery, nie byłoby odpowiedniejszych kulisów do tragedji nocy św. Bartłomieja!

Dzięki Bogu, wszystko to tylko sen! Z mahometańskich dzielnic dolata tu tylko tłumiony szum,

jakby przyduszone, nieszkodliwe sarkanie, rzadko kiedy pokazuje się tutaj turban między cichemi domami, a greccy tragarze dzielą się z chudemi, bezbarwnymi psami nierównym brukiem. Lecz sądzę, że nie jesteś zadowoloną moim początkiem. Życzysz sobie zapewne, bym, zostawiwszy na boku chrześcijańską ulicę Pery, pisał ci jak najwięcej o pogańskim Carogrodzie.

Przy najlepszej chęci nie mogę dziś życzenia twego zadowolić. Może kiedyindziej. Nie jestem w stanie ugrupować i uporządkować tej różnobarwnej masy obrazów, które się zewsząd odbijają w mej duszy, jak w zwierciadlanej kuli. Sądzę, że w ten sposób najściślej wyraziłem swoją terazniejszą czynność psychiczną, jeżeli tak nazwać można spokojne przyjmowanie wrażeń zewnętrznych, mieniących się szybko na powierzchni mej duszy i mijających bez śladu.

Zdaje mi się, że jestem na świecie tylko widzem i że jest to daleko rozumniejsze, niż pełnienie jakiej niewdzięcznej roli. Patrę, jak się nadyma gruba, dziurawa płachta pod skrzywionym masztem i jak ciemnozielony cień dziwnej tureckiej łodzi wyrzną i czystą sylwetką migocze na jasnej, zieleniejącej powierzchni wody, patrę, jak malowniczy kontrast tworzy w dali rozciągnięte skrzydło barki na lazurowej powierzchni morza; patrę, jak stary drewniany most za Galatą roi się turbanami wszystkich barw i jak na przeciwnym brzegu z masy zieleni i pla-

skich dachów wznosi się wspniali las niezliczonych minaretów; patrzę, jak z wieczora to bajeczne miasto przechodzi całą skalę rozkosznych, przepięknych barw, jak ten las minaretów chwilę w ogniu płonie, potem odziewa się w purpurę, potem lekką różową barwę zmienia w sinawą i zmieniając jeszcze z dziesięć razy swój barwny odcień, ginie w tajemniczej żółtej mgłę.

Po tem widowisku przynosi mi jeszcze służa z greckiej kawiarni—„kafeneion tu paradisu” jest jej nęcące imię—ostatnią filiżankę i świeżo nalożoną fajkę na taras, a po chwili zbijam nogi po karkołomnych schodach z Galaty do gościnnej Pery.

Nawiasowo dodam, że Lloyd powiesił na gwoździu. Niemów o tem naszym nic. Czem żyję?—pytasz. Bez mała odpowiedziałbym: kawą. Ale odłóżmy na bok tę niekzemną stronę materyalną.

Posłuchaj co mi się wydarzyło onegdaj. Miałem napad jakby choroby. Schwyciło mnie coś za pierś z prawej strony i rzuciło na łóżko. Leżałem między ogniem a lodem, jak na Madejowem łożu. W tej chwili pograżyłem się, przyznam ci się, w rozważanie o nędzy i nicości rzeczy doczesnych. Smutną, bardzo smutną przygodą przedstawiała mi się śmierć na czwartem piętrze starego domu w Pery, nie wiem, ile mil od serca macierzyńskiego i wszystkiego, co dla człowieka drogie jest i miłe.

Ciasny pokoik brał na się postać trumny. Tego wrażenia nie odpędziła nawet piękna Haidie, która na palcach weszła do pokoju. Jest to córka mego gospodarza, młodziutka Greczynka i na swój sposób

miła bardzo. Może ci ją kiedy opiszę. Właściwego jej imienia nie znam; nazywam ją a la Byron Haidie. To więc niewinne stworzonko zakradło się na palcach aż do mego łóżka i skłoniło ku mnie swoją filigranową twarzyczkę, którą otaczały obfite czarne, błyszczące pukle włosów. Ale kiedyindziej tak świeża, zdała mi się w tej chwili bladą, bardzo bladą, a cała jej postać tak mgławą, jakby była posłem z innego świata.

Zakryłem z bolesnem westchnieniem oczy. Kiedy spojrział po chwili, pokój był pusty. Długo, długo zostawałem sam z drużyną swoich niewesołych myśli.

Nakoniec otworzyły się znów drzwi. Wszedł mężczyzna wysoki, zgrabny, z obliczem, w którym wyczytałem na pierwsze spojrzenie stanowczy i rązny charakter. Czarne, błyszczące oko i delikatna ciemna broda, której kontury ginęły na ciemnym tle ubrania, doskonale zgadzały się z wyrazem jego twarzy. Łatwo zgadłem, że mężczyzna ten jest lekarzem.

Za nim weszła do pokoju Haidie.

Lekarz podszedł prosto do mego łóżka, pytając po francusku:

— Z którego pan kraju?

W Konstantynopolu pytanie takie nie jest przed rozpoczęciem rozmowy zbyt czeznem.

— Jestem Czech.

Twarz lekarza wyraziła miłe zadowolenie:

— Czech! — zawołał po czesku. — Więc je-

steśmy rodacy. Szczęśliwy przypadek. Pan może nie uważa tego za szczęście, ale mam nadzieję, że wkrótce odłożymy pańskie uprzedzenie *ad acta*.

A doktor Wolny okazał się naprawdę cudownym lekarzem. Kiedy dotknął się mej ręki i odgarnął mi z gorącego czoła włosy, zdawało mi się, że pod jego dotknięciem, jak przy dotknięciu silnego egzorcysty, demon choroby ucieka z mego ciała.

W kilka dni byłem zdrowszy. Bezwątpienia należy się także niemała część zasługi mojej matce Greczynie, której złototkane pantofelki słyszałem bezustannie szeleszczące po pokoju i której smukłe palce z lubością widziałem zajmujące się różnokolorowemi czepczkami aptekarskich flaszeczek, ostrożnie i łagodnie jak z koronami kwiatków.

Doktor Wolny odwiedzał mnie kilka razy dziennie. Siadał przy mojem łóżku i opowiadał mi szczegóły ze swego życia. Utraciwszy wcześniej biednych rodziców, był już w wątlej młodości pozostawiony sam sobie. Przecierpiawszy cały czyściec biednego studenta, wstąpił nareszcie z ładnie zwiniętym dyplomem pod pachą w oczekiwany z upragnieniem raj niezależnego życia. Ale niezadługo poznał, że wstąpił właściwie do nowego oddziału ciężkiej walki o życie. Nie posiadając kapitału, ani szczególnych znajomości, cierpiał młody goiciel ludzkości, sam poważną chorobę, brak pacjentów. Przyjął wówczas bez namysłu miejsce lekarza okrętowego, które mu ktoś zaproponował. W urzędzie tym odbył dalekie podróże po świecie. Burzą porwane liny nieraz bi-

czowały jego skronie, wichry ze wszystkich stron rozwiewały mu włosy, strzykająca piana morska padała na czarną jego brodę, podzwrotnikowe słońce paliło jego oblicze, a wszystko to razem zahartowało całą jego istotę. Rys za rysem występował przedemną podczas tego opowiadania jego dobrego charakteru.

Kiedym wyzdrowiał nieco, przyszła kolej opowiadania na mnie. Jakże zupełnie odmienny obraz rozwinąłem przed nim! Dzieciństwo spędzone między przysmakami i lalkami na miękkim łonie pieczącej matki, wypłynięcie na fale życia bez wiosła, bez kompasu, bez celu, nareszcie podróż do obczyzny bez celu...

A jakże ciasnem było pole moich wspomnień! Jego tułały się po szerokim, bożym świecie, moje zakłète były w Supowskim zamku i jego okolicy. Zamiast światowych miast, kupa szarych wież, zamiast preryj i dziewiczych lasów, zdziczały park, zamiast okrętów zbutwiała łódka w zielonej pleśni gnijącego stawu.

A jednak doktor Wolny zajmował się bardzo mojem opowiadaniem. Zauważyłem, że dość go zajmuje cicha rodzinna idylla, którą mu odtworzyłem: być może, że łagodne barwy tego obrazka upoiły jego wzrok, zmęczony przykrem światłem obcokrajowych panoram, które się biegiem tylu lat przesuwają koło niego.

Mianowicie zdaje mi się, że go w tej naszej idylli zajmuje pewna smukła postać, która, być może, podczas gdy to czytasz, odłożyła na chwilę jakie zby-

teczne wyszywanie, którem sobie ciągle zatrudnia palce przy blasku nocnej lampy, i schyla głowę nad temi słowami. Od chwili, kiedy pokazał doktorowi Wolnemu swoją fotografię, nie przestaje zajmować się wszystkim, co dotyczy twojej osoby. Sądziłbym nawet, gdyby nie był na wszystkie strony tak opancerzony przeciw strzałom Amora, że się w tobie zakochał *in effigie*.

Ale żarty na stronę! Jesteśmy obecnie z doktorem dobrymi przyjaciółmi, jakbyśmy się znali od nie wiem jak dawna.

Haidie przynosi mi wino z lodem (lód jest tu niezbędnym dodatkiem każdej materyalnej rozkoszy) i daje mi łamaną francuszczyznę do zrozumienia, że sobie napróżno psuje oczy, pisząc tyle. Więc, addio!

Włodzimierz.

Polska sprawa pana Hordliczki nabywała z każdym dniem większej pewności i okrągłości.

Znał jaż nazwisko polskiego szlachcica, do którego należały te zaśnieżone lasy, wśród których zamierzał się przejeżdżać z Mazurem trzaskającym z biczem, przy bladym księżycu; znał także dziwną historię szerokiej, czerwonej szramy, ciągnącej się przez całą niemal twarz owego szlachcica, nie czyniąc wszakże żadnej ujemy serdecznemu wyrazowi prawdziwie pięknego, staropolskiego oblicza.

Za te delikatne uwagi był pan Hordliczka obowiązany dwom panom, z którymi schodził się w ka-

wiarni. Zapoznał się z nimi szczęśliwym przypadkiem. Owi dwaj panowie grywali zwykle w szachy: raz jeden z nich się nie stawił, pan Hordliczka stał się z amatorstwa jego zastępcą i znajomość była gotowa.

Pan Hordliczka przegrał, a jego nowy znajomy z radości nad wygraną stał się bardzo wylanym i zwierzył się między innymi panu Hordliczce, że jest w możności skutkiem swoich daleko rozgałęzionych koneksyj wyrabiać sute posady prywatne i że na tej podstawie założył sobie biuro rekomendacyjne.

To było dla Hordliczki skinieniem losu, więc zdecydował się wyznać, choć z kłopotem, że pragnąc się zająć czemkolwiek, gdyż nie znosi bezczynności, przyjąłby taką posadę, choć tego z pobudek materyalnych przy swej emeryturze—podwyższył ją sobie samowolnie o połowę—czynić nie potrzebuje.

Znajomy wyraził się, że zrobi co będzie w jego mocy i że nie zapomni pana Hordliczkę zawiadomić, jak tylko się jakie odpowiednie miejsce trafi.

Zaraz też nazajutrz odprowadził go na bok i zakomunikował mu szeptem, że wczoraj zupełnie zapomniał o pewnej ważnej okoliczności, która zupełnie odpowiada życzeniu pana Hordliczki, i przypuszcza, że nie będzie się już wahał porzucić kraju. Ów drugi szachista jest właśnie sekretarzem bogatego polskiego szlachcica i bawi tu chwilowo w interesie pozyskania dla majątków swego pana kilku zdolnych urzędników.

To był początek polskiej sprawy pana Hor-dliczki.

Tem niech się skończy tymczasem ta sucha, zownętrzna czynność mego bohatera, którą tu podaje dlatego tylko, abyście poznali tajemny źródł owych fantazyj o miłej izbie z widokiem na lasy i skrzyżowanych karabelach pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wróćmy do wewnętrznych potrzeb domowych.

Imienniny Ireny udały się znakomicie. Nie będę was nudził opisywaniem szczegółów tego święta rodzinnego; dodam tylko, że koroną dnia nie był pyszny tort, u stóp którego flirtowały pasterki z pasterczami w strojach *à la rococo*, ale duży bukiet świeżych, żywych kwiatów, który tehał z kryształowego wazonu wszystkimi woniami wiosny.

Lecz nie te niezwykle w zimie wonie czyniły go tak zajmującym, ale nimb tajemniczości, który się wznosił koło niego. Wczesnym rankiem przyniósł go posłaniec publiczny ze słowami: „dla panny Ireny”. I nim się rodzina opamiętała z zadziwienia, prozaiczny doręczyciel znikł za drzwiami.

Niepotrzebnie dodaje, że pstrokata zagadka ta była poddana dokładnemu obejrzeniu, czy się czasem za którym listkiem nie ukrywa jej rozwiązanie; że przypominano sobie wszystkie motyle, które kiedykolwiek około blasków piękności panny Ireny rysowały szersze lub węższe koła; że się nareszcie panna Irena uciekła do podręcznego słownika symboliki kwia-

tów, czyby choć w ten sposób nie zrozumieć tajemniczego znaczenia wonnego hołdu.

Po raz pierwszy w życiu żałowała Irena, że szept kwiatów jest tylko wymysłem poetów.

Bukiet ten był dla niej wydarzeniem tak wielkiem i ważnem, że mógłbym mu poświęcić kilka ustępów swego opowiadania tem samem prawem, jakim poświęcają koledzy moi całe rozdziały pierwszemu spotkaniu swych szczęśliwych lub nieszczęśliwych kochanków. Było to nieme wyznanie miłości przez nieznanego. Ale wyznauie to było rzeczywistością i Irena była prawie pewną, że niewidzialny ofiarodawca odrzuci z pewnością prędzej lub później magiczną czapkę, która go ukrywa przed upragnionym jej wzrokiem. Ta tymczasowa niewidzialność nie przynosiła mu wcale ujmy. Nowelami wykarmiona dziewczęca wyobraźnia wypełniała puste miejsce za bukietem najpowabniejszą postacią swoich snów i łączyła w niej wszystkie przymioty ciała i duszy, rodu i majątku, ku którym zawsze leciały jej eiche marzenia. Tylko najczulsze uczucie mogło wybrać i ugrupować kwiaty w tak piękną całość i z takim to zrobić smakiem, a kiedy sobie marzące dziewczę wyobraziło, że palce jej ideału dotykały tych dzieci sztucznej wiosny, nie mogła nad sobą zapanować i wycisnęła na nich słodki, gorący pocałunek.

Promieniała szczęściem i pychą.

Wszystko musiało podziwiać piękno bukietu razem z nią, a podług tego mierzyła skutek, jaki wywarła jej piękność na niezuanym ofiarodawcy.

Nawet chorej babce nie dała spokoju ze swoim szczęściem.

O mało nie obaliła w pośpiechu malowanego parawanu. O, przeciwności zimy z wiosną! Ten barwny pęk z rąk miłosnej Flory przed obliczem zapadłem i zwiędłem, przed temi potarganemi, siwemi włosami, na których połyskują szklane perły, jak mrożone diamenty na powierzchni śniegu!

Zdawało się, że ta martwa twarz ożywia się stopniowo pod wpływem woni bukietu, który Irena przytknęła do suchych jej warg.

Po chwili staruszka odetchnęła głęboko i otworzyła swoje duże, mętne oczy.

— Babciu, to mi przysłał na moje imieniny nieznamy wielbiciel!

A staruszka patrzy — patrzy na ten róg wiosennej obfitości, oczy jej nabierają wyrazu życia, twarz się rozjaśnia, a z ust spływają dziwnie szeptane słowa. Ale ona nie mówi z teraźniejszym światem. Ten świat, z którego i do którego mówi, leży daleko, daleko za nami, jak utracony raj, a seraf ludzkiego postępu z ognistym mieczem oświaty stoi przy jego bramie. A my nawet już nie tęsknimy do tego raju. Nam zdają się komicznymi te koafury z mnóstwem fioków i pudru, te dziwne stroje z kwiecistych materiałów, któremi obijamy dziś chyba tylko fotele i obszywamy pantofle. Bez litości zrywamy z siebie ostatnie resztki jego kastowych i innych uprzedzeń, jego bigotery i niewiary, bez względu na to, że często ze-

rwiemy razem piękny kwiat poezji i często zarzucimy kawał czystego, drogiego złota.

Ale dla staruszki naszej był to raj.

Tam była młoda i szczęśliwa, tam żyła jako piękna córka bogatego szlachcica wśród szumu i blasku, który dawno przeszumiał i zagasł. Ale miłośniarska starość prowadzi ją tam napowrót. Duch jej błądzi znów wśród komnat i wśród mebli, które zapewne dawno już próchnieją u przekupnia osobliwości, i rozmawia z osobami, których portrety dawno odpoczywają na strychach między starymi grami...

Tak więc mówiła i teraz, patrząc na barwny bukiet, o jakimś balu pełnym kłaniających się peruk i szeleszczących, pstrych wachlarzów, pełnym krochmalonych mankietów i grzeczności, pełnym szlacheckiego dostojenstwa i piżma.

Lecz Irena i te tajemne słowa łączyła z pięknnością swojego bukietu.

Zajmowała się nim przez dzień cały i nareszcie usnęła przy słodkiej jego woni.

W głowach jej łóżka stał kryształowy wazon z drogiemi kwiatami, a barwne ich główki chwiały się przy migocącym świetle lampy, jakby się naradzały nad przeprowadzeniem zemsty, którą tak pięknie opiewa Freiligrath.

I zapewne wystąpiły ze swego kryształowego więzienia w nocy, i być może, szeptały śpiącej dziewczynie do ucha rozwiązanie zagadki, nad którą sobie próżno łamała głowę.

Z żalem muszę tu rzec, że jak ten bukiet, mimo troskliwego pielęgnowania i zlewania wodą, dzień po dniu tracił na barwach i woni, tak i spokój na twarzach rodziny Hordliczków tem bardziej mijał, im bliżej miesiąc chylił się ku końcowi.

Pierwsza burza zerwała się nad Julą.

Już od pewnego czasu budziło podejrzenie reszty członków rodziny mnóstwo różyczek muślinowych, któremi jej stoliczek i podłoga koło niego była zasypiana, jak sala bogatego Rzymianina po różanym deszczu. Podejrzenie to rosło przy spojrzeniu na różne wstążki, perełki i koronki, któremi ozdabiała zupełnie nieznanne damskie ubiory.

Nareszcie okazała się cała naga prawda.

Poznano, że Julia była fałszywą kłamczynią. Z przyjaciółek zrobiły się zupełnie zwyczajne klientki, a oszczędności z Supowa, któremi w chwilach kłopotów rodzinnych pomagała, zamieniły się w prostą nędzną płacę robotniczą.

Po skruszonej spowiedzi i nieśmiałej odpowiedzi, że taka praca jest lepsza, niż nuda i że jej drobny przyczynek do kasy rodzinnej czasem nie zaszkodzi, zaczęły padać pioruny na jej grzeszną głowę. Matka zawyrokowała, że z pewnością nawet kropla krwi Podwalskich nie drzemie w żyłach plebejuszowskiej córki, która bez zarumienienia tak się głęboko poniżyła; Irena zwróciła uwagę na skandal, gdyby ktoś ze znajomych Julię na tych zakazanych zajęciach złapał, a pan Hordliczka rzekł z naciskiem że on jest na to, aby żywić rodzinę, i że nigdy, jego

zdaniem, do tego nie przyjdzie, aby się jego córki wynajmowały za szwaczki.

Julia pokornie przyrzekła poprawę.

A po tej pierwszej na rodzinnem niebie przechodziły burze jedna za drugą.

Raz pani Hordliczkowa kazała usiąść Jarosławowi na ławie oskarżonych i przeczytała mu długi rejestr jego win, malując również pstremi barwami smutną przyszłość, która po młodości, tak nikczemnie spędzonej, napewno ustąpić musi, a oskarżony śledził tymczasem uważnie ładnie ząbkowany cień jej rękawów na podłodze, który przy żywej gestykulacji rąk matczynych tu i owdzie migotał przed jego oczyma, mieniając się powoli w skrzydła bajecznego ptaka, na którym w duchu tyle razy fruwał między białymi wyspami obłoczków na morza błękitie; drugim razem klóciła się Irena z matką o dziedziczne srebro; trzecim znów razem musiał słuchać ojciec, jak się pod ciosami małżonki i córki obraz nad karabelami, sanie z Mazurem i cała polska sława rozpada w ruiny jako pusta, bezecna fantazyja, która powinna ustąpić nareszcie przed jakim szybkim, rozsądnym czynem.

Przy tem wszakże topniała w oczach kasa niepraktycznie złożonych banknotów w starożytniej skrzyni.

Część ich była dobrze ułożona w złotym hafcie czarnego jedwabnego wachlarza panny Ireny i w damskim jej zegarku, a jeszcze lepiej inna część w polskiej sprawie pana Hordliczki.

Resztkami ich wreszcie zapłacono obowiązkową daną królowi zapust.

Pani Hordliczkowa z Ireną spędziły piękną jedną noc w barwnej procesyi za tryumfalnym jego wożem, otoczone rojem Tellów i Mefistów, domin i arlekinów, którzy składali u ich stóp swoje nędzne zapustne dowcipy.

A kiedy nad ranem Irena wróciła do cichej sypialni, upojona barwną mieszaniną wrażeń i dźwięków walczyków i gdy fantastyczna mucha płci męskiej, z lazurowymi przezroczemi skrzydłami na ramionach i z drżącymi mackami nad kędzierzawą głową, którą tam na balu próżno odganiała jedwabnym wachlarzem, przed jej oczyma znów się wynurzyła w pełnej piękności metalowo-zielonego ciała, odpechnęła nogą wielki pęk suchych liści i pogniecionych, zwiędłych kwiatów, który się u niej tarzał zakurzony na podłodze. Jaro podniósł go rano i położył na łóżku babci.

Teraz zgadzały się zupełnie: ten suchy bukiet ze żółtkłemi kwiatami i ta sucha, pomarszczona twarz na białej poduszce.

Potem nastąpiły dnie, kiedy pani Hordliczkowa nie miewała drobnych dla kupca i mleczarki, kiedy zauważyła, że Julia niepotrzebnie niszczy wiele świec, bezwątpienia nad romansami późno w noc siedząc, kiedy mówiono do służącej, że dziś jest ciepło jak na wiosnę i że grzechem byłoby palić w piecu.

Podczas takiego ciepłego wieczoru, kiedy Julia została sama z ojcem w jednym pokoju, podała mu

z pośpiechem paczuszkę pieniędzy papierowych, prosząc go szeptem, aby o tem nic nie mówił matce.

Pan Hordliczka spojrział na nią zdziwiony i przyjmując wahająco pieniądze, zapytał z lekkim rumieńcem, z kąd je wzięła.

Julia odpowiedziała po krótkim milczeniu, zarumieniwszy się również, że przysłał jej Włodzimierz, aleby matka w to nie uwierzyła.

Pan Hordliczka, zdaje się, uwierzył i schował pieniądze bez dalszych uwag do kieszeni.

Dzień, w którym pan Hordliczka swoją wizytę u pana Jastrzębia miał powtórzyć, zbliżał się szybko. Ów zaś szedł na jego spotkanie z wyraźnym kłopotem na wysokiem czole.

Wieczorem tego dnia spędziwszy poobiednie godziny w szalonym bieganii po pokoju i w frasobliwym, ciemnym dumanii w fotelu, wszedł do tylnego pokoju, gdzie Julia na jego wejście z dziwnym pośpiechem zamknęła pięknie oprawny rocznik niewinnego tygodnika mód.

Znajdowała się w pokoju sama; staruszka za parawanem była obecna tylko cieleśnie — reszta jej istoty jechała w tej chwili na jakieś dworskie przedstawienie w pozłacanej karecie.

Pan Hordliczka siadł obok córki i siedział w milczeniu długą chwilę. Potem zaczął, patrząc w stronę chorej, mówić o ciężkich kłopotach, z których nie może wybrnąć.

— Jutro pierwszego—powiedziała Julia.

— Cóż z tego?—odpowiedział beznadziejnie oj-

cię. — Mam konieczne nadprogramowe wydatki, a na emeryturę sięgnąć nie mogę. Wiesz przecie, jakąby to wywołało burzę.

Julia wstała, milcząc, otworzyła kufeczek i podała ojcu małe, ślimakami ozdobione, pudzderko.

— Jeżeli to wystarczy...

Pan Hordliczka odchylił wieczko i ujrzał kilka paczek banknotów, podobnych do tego, jaki mu Julia dała onegdaj.

— Jeżeli ich nie potrzebujesz chwilowo—szeptał nieśmiało — mogłabyś mi to na krótki czas pożyczyć niezadługo będzie nam lepiej.

A kiedy zawartość pudzderka śpiesznie przełożył do pugilaresu, wstał z wilgotnym okiem, wycisnął lekki pocałunek na czole córki i wyszeptał:

— Tyś dobra, Julio!

Stanowczy dzień minął szczęśliwie.

Pan Jastrząb wysłuchał z wyrazem ludzkiej wyrozumiałości wyznania pana Hordliczki, że mu pewien pan, u którego ma znaczną sumę, nie dotrzymał słowa, że ma w tej chwili tylko procenty, ale gdyby kapitał był koniecznie potrzebny, mógłby się napewno za jakie trzy dni o pieniądze wystarać...

Ale pan Jastrząb nie chciał go kłopotać i przyjąwszy procent z nowym wekslem na miesiąc, oddał

mu stary z bardzo łaskawymi pytaniami o syna w Konstantynopolu.

Minął znów miesiąc.

Tym razem przyjął już pan Jastrząb owo wyznanie ze słabszym wyrazem wyrozumiałości i dziwnie ściągnął swoje gęste, czarne brwi. Ale kiedy przyjmował procent i nowy weksel na miesiąc, odbijało się już na jasnej jego twarzy rozczarowanie. Stary weksel gdzieś zapodział—przyniesie go jutro, naturalnie z należą dyskretycją, osobiście panu Hordliczce do mieszkania.

Na drugi dzień—była właśnie niedziela—wdział pan Jastrząb świąteczny surdut, wziął swoją grubą laskę z ołowianą gałką pod pachę i szedł odwiedzić swych dłużników.

Mówił zwykle w takim razie, że idzie oglądać wierzchołki.

Dzień był prześliczny, świąteczny.

Choć jeszcze śnieg pokrywał ogrody publiczne, około których przechodził, czyste, ciepłe powietrze mówiło już o blizkiej wiosnie. Wszystko błyszczało w słońcu, jakby było niewypowiedzianie szczęśliwe.

Pan Jastrząb czuł, jak w całą jego istotę wkrada się ten ogólny świt czystej rozkoszy. Dusza jego tonęła w błogiem uniesieniu.

Zatrzymał się w kościele.

Wspaniałe dźwięki organów, pobożne melodie wonny dym kadzidła, połysk złota i srebra na ołtarzu i posagach, wszystko to wywarło na nim swoją czarującą moc, której przed nim doświadczało milion ludzi.

Moralnie oczyszczony i podniesiony, udał się w dalszą drogę.

Dziś jej cel kupiecki ustąpił jakoś na plan drugi; podobna była raczej do wolnej, poważnej przechadzki po mieście, połączonej z wizytami przyjacielskimi.

Nareszcie zabłądził pan Jastrząb także do odległej, malowniczej dzielnicy, w której wybrał sobie siedlisko pan Hordliczka.

Pan Jastrząb był mu dziś niemal wdzięcznym za ten wybór. Zapoznał on go z dzielnicą miasta, którą znał dotąd tylko powierzchownie.

W dzisiejszym swoim nastroju ulegał wrażeniom starożytności i malowniczości, które tu były rozsiane na wszystkie strony.

Ale kiedy się nareszcie dostał na ciasną uliczkę, między stary tum i dziwną trzypiętrową budowlę, zastanowił się trochę.

Wyboru takiej uliczki nie mógł sobie wytłómaczyć w żaden sposób.

Wyglądu starej świątyni nie znajdował bardzo miłym, ani godnym takiego przeznaczenia. Kręcąc głową, spoglądał na czarne dziwaczne potwory, które tam u góry czyniły wrażenie, jakby ciekawie, tłumnie wchodziły tędy na czarne obłaki i filary, a te

raz wychylone daleko na ulicę z wyciągniętymi długimi karkami śledziły jego postać, i pędzone wrodzoną złośliwością, miawały podrapane twarze o pogardliwym i szydzącym wyrazie.

Pan Jastrząb, porównywając te upiory z miłymi posagami Świętych, które się przyglądały jego porannej pobożności, doszedł do przekonania, że sztuka z biegiem czasu daleko posunęła się naprzód.

Humor jego popsuł się jeszcze bardziej, gdy nie znalazł pana Hordliczki na pierwszym piętrze, a spokój jego padał głębiej z każdym stopniem do zawrotnej wysokości, gdzie nareszcie imię swego klienta na drzwiach odczytał.

Ale spokój jego powrócił znów, kiedy go pan Hordliczka wprowadził do pysznego saloniku.

Usiadł bez ceremonii na miękkiej kanapie i oddawszy gospodarzowi domu stary weksel, rozglądał się milcząc po pokoju.

Panu Hordliczce przy całym uszanowaniu dla gościa wizyta jego nie była miłą.

Starał się go bawić przepowiednią pogody przyszłych dni, przeglądem ostatnich samobójstw i podobnymi zajmującymi rzeczami, ale pan Jastrząb kiwał tylko z roztargnieniem głową i poświęcał całą uwagę miłym, otaczającym go przedmiotom. Przyciskając zamknięte usta do gałki swej laski, przyglądał się szafkom i stolikom tak uważnie, jakby tem spojrzeniem chciał wnikać w ich tajemne wnętrza.

Pan Hordliczka chciał właśnie zboczyć na pole

polityczne, gdy wtem gość jego nagle wstał i przystąpiwszy do jednej bogato inkrustowanej i rzeźbionej szafki, z jakimś zadowoleniem poklepał ją i rzekł:

— Dokładna robotal! Byłoby lepiej, gdyby ją przestawić w więcej suche miejsce.

Po tej radzie, która brzmiała bardzo natarczywie, zdjął pan Jastrząb z wierzchu szafeczki figurkę, ale obejrzawszy uważnie ze wszystkich stron, postawił ją na dawne miejsce z pogardliwym mrucnięciem:

— Hm, nic!

Wyrzekł zaś to tak lekceważąco i krótko, jakby żałował słów na tak bezwartościowe zabawki.

Potem zwrócił się do starożytnego zegara, poniekąd już zniszczonego i wyrzekł, że nie trzeba żałować pieniędzy na jego reparację; przekonał się o zupełnej dokładności dużego zwierciadła i pochwalił nawet, że połączana, ozdobna jego rama jest codziennie ocierana mokrą ścierką.

Krótko mówiąc, pan Jastrząb okazywał bardzo pochlebne zainteresowanie się meblami salonu Hordliczków.

Nareszcie oczy jego spoczyły uparcie na drzwiach, dzielących salonik od sąsiedniego pokoju. Myślał chwilę pod jakim pretekstem je otworzyć. Przypadkowo zabłądziły jego oczy na okno i pretekst był łatwy. Postąpił naprzód i zapatrzył się na kamienne potwory, stojące obok świątyni.

— Szkoda naprawdę— zaczął— że ten starożytny jest w tak blizkiem sąsiedztwie z nowymi budowlami. Wrażenie starożytności ginie w ten sposób zupełnie. A obejrzyć go warto. Ot, co za dziwny gust jest w tych upiorach pod jego dachem. Tamten przedstawia zapewne jakiego adwokata piekielnego.

— To czarnoksiężnik — pouczył go Jaro, który tymczasem wszedł do pokoju i nie mógł milczeć, gdy mówiono o jego poufanych znajomych z przeciwnika.

— Hm, hm, rzeczywiście zajmujące — ciągnął pan Jastrząb. — A tamta, to zapewne czarcia narzeczona?

— Czarownica—zauważył lakonicznie Jaro.

— A ten chłop z workiem na sercu, z twarzą jak hyena?

— To lichwiarz—dopełnił Jaro.

Pan Hordliczka drgnął, jakby weń piorun uderzył i, zarumieniwszy się jak ogień, spojrział ukradkiem w stronę pana Jastrzębia. Ale ten przyciskał tylko wargi do gałki swej laski i patrząc chwilę na kamiennego lichwiarza, ciągnął dalej:

— Hm, hm, zajmujące naprawdę. A dalszych figur ztąd nawet nie widać.

Przy tych słowach postąpił jakby od niechcienia ku drzwiom sąsiedniego pokoju i spojrział na pana Hordliczkę tak znacząco, że ten musiał zrozumieć, o co idzie, i cicho westchnąwszy, otworzył.

W drugim pokoju przyjęła pani Hordliczkowa gościa, którego jej mąż przedstawił, nieznacznie skinieniem głowy i przymknęła przytem oczy tak, jakby plebejuszowskiej jego postaci z trudem gdzieś u swych stóp szukała; na szczęście, nie wznosił się wzrok pana Jastrzębia ku jej twarzy, ale poprzestał na powierzchownem obejrzeniu jej ubrania i zatrzymał się tylko trochę dłużej na złotym zaręczynowym pierścieniu.

Również uszło jego uwagi niecierpliwe spojrzenie, z jakim Irena, zamglone marzące oczy od swego Bulwera na natarczywca podniosła; olśnił go powab, jakiego dodawał jej panińskiej piersi złoty damski zegarek.

Zato przejrzał znów bardzo uważnie wszystko w pokoju.

Było w nim wszystko godne uwagi.

Były to meble zdrowe i piękne, które spędziły prawdopodobnie pierwszą swą młodość w wygodzie przestronnych komnat. Były to meble z lepszych czasów, któremi wpadająca w biedę rodzina zastawiała skromną przestrzeń ciasnego mieszkania, nie chcąc się rozłączyć na zawsze z miłemi, niemymi świadkami szczęścia Supowskiego.

Z trudem udało się Jarosławowi przypomnieć cel jego odwiedzin tego pokoju. Kilka razy musiał mu powtórzyć znaczenie tańczących kościotrupów, dzikiego łowca, nielitościwej matki, nim pan Jastrząb podszedł do okna, aby się przyjrzeć kamiennym postaciom.

Ale stał przy oknie tylko chwilę i powrócił między sympatyczne sprzęty, od których nie dzieliła go teraz harda matrona z córką. Wyszły one tymczasem z obraźliwym pośpiechem do ostatniego pokoju.

Pan Jastrząb podniósł z fortepianu Bulwera, którego tam zostawiła Irena, i obejrzał go okiem znawcy na wszystkie strony.

— Takie książki nie mają wartości — rzekł nareszcie.

— Bulwer ma wielu zwolenników — wtrącił skromnie pan Hordliczka.

— Być może. Ale kto kupuje podobne książki? Pożyczają się zwykle z ręki do ręki. Książki wogóle, to inwentarz zupełnie niewdzięczny. Można tu zaledwie polecić bogatą oprawę, albo, co najwyżej, oprawę jednakową; księgozbiór bowiem w jednakowej oprawie daleko łatwiej sprzedać.

Panu Hordliczce dziwnem się zdawało stanowisko, z jakiego gość jego zapatrywał się na literaturę piękną, wydało mu się cokolwiek niejasnym i dlatego zaniechał dalszej w tym przedmiocie rozmowy.

Kamień spadł mu z serca, kiedy się pan Jastrząb nareszcie zegnał. Obawiał się ataku do ostatnich drzwi, za którymi byliby napewno źle przyjęci. Ale gość złożył nadspodziewanie broń przed uwagą, że w tym pokoju leży chora staruszka.

Po wyjściu do sieni spojrzał pan Jastrząb oszklonemi drzwiami do kuchni.

Ujrzał tam Julię.

Dziewczę nie miało prawdopodobnie nawet przecucia, że na niej spoczęły ciekawe jego oczy; byłaby inaczej z pewnością schowała się do kąta, albo przynajmniej poprawiła sobie potargane, zamączzone włosy, zwieszające się nad pięknem jej obliczem, które ozdabiał żar kuchni miłosnym rumieńcem ognia.

Wspaniała ta postać wznoszona, białem, świątecznym ubraniu, wyglądała raczej na kapłankę Wenus, niż na westalkę prozaicznego tego płomienia, nad którym syczały łydki i garnki, ale mimo to uwijanie się jej dawało nadzieję doskonałego obiadu; mimowoli więc oblizwał wargi, kiedy spoglądał na drobne, delikatne jej paluszki, biegające z pokrywki na pokrywkę.

Przy pożegnaniu wrażenie, jakie wywarło mieszkanie dłużnika, określił temi słowy:

— Ładnie pan mieszka, panie inspektorze, tylko trochę za wysoko.

— Zacheianka mojej pani—tłómaczył się p. Hordliczka.

Po jego odejściu musiał ojciec rodziny wysłuchać nie bardzo pochlebnego zdania o swoim nowym znajomym.

Pani Hordliczkowa z pomocą służącej wytarła przedewszystkiem starannie ślady, które gość zostawił po sobie na podłodze w postaci błotnistych odcisków szczególnie dużej nogi, mruczając przy tem niepiękne przysłowia, że można lwa poznać po pazurach.

A kiedy nareszcie skrytykowała należycie postać pana Jastrzębia, poszła jeszcze dalej i zakonclu-

dowała, że cała ta brutalna istota odpowiada łąpom słonowym. Ktoby był uwierzył jej opisowi, brzydkiej twarzy, czerwonego jastrzębiego nosa i zuchwalego oka, byłby sobie utworzył o panu Jastrzębiu pojęcie niezupełnie pochlebne.

Ten ostatni nie miał nawet w myśli, że wywarł tam na górze tak nieprzyjemne wrażenie. Zupełnie uspokojony rezultatem odwiedzin, kroczył wesoło około starej świątyni. Mimowoli obejrzał się jeszcze na kamienne potwory, które wyciągały za nim karki z szyderym uśmiechem; południowe słońce, które rozpedziło cienie wśród lasu filarów kamiennych, oświetlało ich twarze i topiło resztki ich poszarpanych śnieżnych płaszczów. Jeszcze jedno spojrzenie na kamiennego lichwiarza, pogardliwe wejrzenie na jego worek, i nasz świąteczny przechodzień obrócił się plecami do majestatycznego gotyku, który go nie mógł zająć swem pochmurnem, a wzniostem pięknem.

Schodził z wolna starożytnymi schodami do niższych dzielnic miasta. Przed nim leżała w jasnym słonecznym świetle rozkoszna panorama niezliczonych strzech, przetykanych mnóstwem różnej formy wież i kopuł. Pan Jastrząb rozkoszował się chwilami tym pięknym widokiem, chwilami zaś zamyślał się. Myśli te nie posuną, co prawda, powolnego biegu mej opowieści, ale rzucają cienie na przyszłe wypadki i dlatego wyrwę tu z nich kilka kartek.

Cichy przechodzień myślał sobie, że weksel Hordliczki jest dobry, ale nie zaszkodziłoby wobec możliwych a nieprzewidzianych komplikacyj mieć podpis

i p. Hordliczkowej; myślał, że świat boży jest piękny i wszystko na nim pięknie urządzone, że spóźnił się na obiad i że go bezwątpienia Rozyna powita jaką przypaloną mumią gęsi, że miły uśmiech pięknej kucharki dodaje smaku; że on, pan Jastrząb, dosyć się już nakłopotał i że już czas, aby także czego użył, że jest dotąd mężczyzną w sile wieku i że dziś gra w nim krew jak w młodzieńcu, gdy to słońeczko pięknie świeci, a te jaskółki tak wesoło latają...

Podobnie myśląc, doszedł do końca starożytnych schodów. Na ostatnim stopniu siedziała zziębła, oberwana, biedna kobieta, z dzieckiem na kolanach, istna *Mater dolorosa*. Z pod szarych strzępów, którymi otulone były jej bezbarwne, potargane włosy, spoglądała na przechodzącego milcząc, z okiem boleśnie tęsknem, które mówiło więcej, niż głośny lament.

A przed nią—o sarkazmie życia!—stał koszyk pięknych kwiatów, pierwszych wiosennych myśli odmłodzonej ziemi. Tak miłych, tak delikatnych i powiewnych kształtów i świeżych, jasnych barw, jak bywają myśli dziecięcia.

Pan Jastrząb stanął przed tą grupą. Zdawało mu się, że mógłby sobie kupić bukiet tych wiosennych myśli i zatknąć na piersi, jako symbol swego młodzieńczego nastroju.

Również podobało mu się nieme, pokorne wyczekiwanie kwiaciarki, nie utrudzające przechodniów ani natarczywem podsuwaniem, ani nieprzyjemnem zapraszaniem.

Podszedł ku niej i grzebał długo w świeżych bukietach, aż nareszcie wybrał jeden, nad inne piękniejszy szczęśliwą kombinacją błękitnych gwiazdek i śnieżnych dzwoneczków.

— Po czemu to sprzedajecie?

Mater dolorosa podniosła zamiast odpowiedzi zziębniętą rękę z główki swego dziecka, gdzie zasłaniała dłonią znaczną dziurę w przedziwie brudnego, plecionego czepeczka, i podniosła w górę cztery kościste palce.

Pan Jastrząb się uśmiechnął. Ach, ztąd więc to nadzwyczajne milczenie! Wzorowa kwiaciarka była niema.

— Dwa!—rzekł stanowczo.

Kwiaciarka spojrzała nań boleśnie, położyła rękę na sercu i zakręciła głową.

— Dwa!—powtórzył pan Jastrząb.

Kobieta patrzyła chwilę na główkę swego dziecka. To otworzyło swoje modre, duże oczy i zaczęło płakać.

Mater dolorosa podniosła trzy pale.

—* Dwa!—wołał stanowczo pan Jastrząb.

Kobieta zakręciła głową i skłoniła ją niemal na piersi.

Pan Jastrząb położył kwiatki do koszyka i szedł dalej.

Po chwili obejrzał się i spostrzegł, że niema kwiaciarka spogląda za nim żałośnie i wznosi dwa palce.

Wrócił z tryumfalnym spojrzeniem i kupił bukiecik. *Mater dolorosa* podała mu go i dotknęła przytem ręką ust swoich i dziecka.

Pan Jastrząb wachał łagodne dary wiosny, zatknął je sobie na piersi i kroczył żwawym, młodzieńczym krokiem do domu.

Pan Hordliczka odwiedził główną kancelaryę, gdzie dotąd straszyła przegródka z nieczytelnem niemal już pismem: „restauracya zamku Supowskiego”. Wysłuchiwał plotki z majątku w elegijnym nastroju, z jakim rozmawiamy o drogich zmarłych, z gorzkim uśmiechem przyjął wiadomość, że się niedawno znów jedna wieża zamku Supowskiego zawaliła, pokiwał ze starym rewizorem głową nad pięknem obecnem gospodarstwem i odebrał po drodze część miesięczną swojej emerytury.

W powrotnej drodze przemyślał o tem, jak poprosić pana Jastrzębia, aby mu weksel jeszcze po raz ostatni na miesiąc przedłużył. Procent miał już przygotowany w małej paczusce, która lekko pachniała różaną wodą.

Idąc obok znajomej kawiarni, przypomniał sobie, że wartoby było ponać swą sprawę polską i w tym celu wszedł do wewnątrz. Znalazł tam swoich protektorów w towarzystwie kilku przyjaciół, w różowym humorze.

Sekretarz polskiego szlachcica ugaszczał całe towarzystwo gorącym ponczem, którego sam ogromną masę pochłaniał. Ów sekretarz była to osobistość klasyczna. Przypominał szablon starych kasztelanów, jakich znajdziecie w każdej historycznej powiatce, z niezbędnym puharem w blizkiem sąsiedztwie. Głowę miał krótko ostrzyżoną tak, że się ostro odznaczała jej szczególna, na czubku zwiężająca się forma od grubych, odchylonych uszów; skronie były głęboko wpadnięte; twarz chuda, zimna, była przecięta kilku głębokimi, równoległymi zmarszczkami tak, że wyglądała jakby złożona z kilku prążków pożółkłej skóry. Ale nad wierzchnią wargą jeżył się po obu stronach malowniczo zadarty, potargany siwy wąs, a nad oczami gęste białawe brwi dopełniały rycerskiej całości zajmującego oblicza. Był wysoki i szczupły. Z kasztelanami miał i tę wspólność, że był ogromnie hałaśliwy i bardzo kochał rozmaite płyny. Na panu Hordliczce uczynił wrażenie, zaraz z początku, wielce energicznego.

Pośrednik w dostarczaniu dobrych miejsc był przeciwnie wymuskany elegantem w najlepszym guście, można mu było zarzucić chyba to, że był ekscentryczny. Kolorowe kratki jego koszuli były bardzo rażące, forma kapelusza bardzo oryginalna, a woń fiołków i rezedy, która się rozszerzała około niego, zbyt silna.

— Ach, dziś pan przychodzisz niezwykle późno — rzekł do pana Hordliczki i przedstawivszy go

towarzystwu, zapoznał go również z nazwiskami i tytułami każdego z towarzyszków.

Pan Hordliczka poznał, że się znajduje w kółku rzeczywiście wybranem.

Musiał przysiąc i zanurzyć się w morzu ponczu, w którym polski sekretarz topił swoich przyjaciół. Elegant wyszeptał mu do ucha, że nigdy jeszcze nie widział swego partnera szachowego w takim humorze i że dziś trzeba kuć żelazo póki gorące.

A sekretarz był rzeczywiście w znakomitym humorze. Zaczął dytyrambem do ponczu i żałował, że to szampańskie północy znalazło w Niemcu swojego Anakreonta; ale kto chce poznać czarodziejską siłę tego znakomitego napoju, pić go musi w miłym towarzystwie polskich panów i dam, w ciepłej starożytnej izbie, gdy na dworze huczy zawieja śnieżna i gdy białe gałęzie jodeł tłuką w okna i wilki w dali wyją.

W ten sposób znalazł się wobec opowiadania myśliwskich przygód, bajecznych awantur z wilkami i niedźwiedziami, często tak śmiało kombinowanych, że w róg zagnał całą dotychczasową łacinę myśliwską.

Wkrótce całe towarzystwo przejęło się jego wesołością. Wśród gwaru i śmiechu płynęła godzina za godziną.

Nagle zabrzmiało w tej wesołej wrzawie magiczne słowo: „Karty!” Zapadło, co prawda, na chwilę, lecz wypłynęło znów na powierzchnię. Nabywało zwodniczej siły, aż się go nareszcie ujął sam czcigodny kasztelan.

— Prawda, panowie bracia! Wesoły wieczór bez kart, to tak, jak miłość bez całusa! — zawołał, wstając.

Niektórzy wymawiali się tem lub owem, dwaj z nich nie umieli grać w karty oprócz w „czarnego Piotra;” ale chodzi przecież tylko o zabawę i można wybrać grę tak prostą, że poznają cały jej kodeks po dwóch, trzech partyach.

Wybrano rzeczywiście grę bardzo prostą. Bierze się trzy karty w rękę, kładzie się atuta, rozdający może go sobie zamienić — i gra każdy sam z sobą.

Pan Hordliczka grywał w tę grę tak prostą bardzo często podczas długich wieczorów ze swoją rodziną w Supowie. Znał oprócz tego jeszcze inną grę, nazwaną „mariage,” która jest bardzo zabawna; grywał ją przy końcu hrabiowskich odwiedzin w Supowie z komicznym szlachcicem, pokryjomu przed hrabią. To była cała suma jego wiadomości w tym zakresie.

Towarzystwo wybrało się za sekretarzem do osobnego pokoju kawiarni, który był od niej oddzielony ciężką, niebieską zasłoną.

Kelner zapalił lampę, zamknął okiennicę, spuścił zasłonę i zakrył także oba zwierciadła, wiszące naprzeciw siebie i przeglądające się w sobie nawzajem.

Pan Hordliczka namyślał się chwilę, czy ma wziąć udział w niewinnej tej zabawie. Potem przysiadł do stołu. Przypomniał sobie, że w Supowie

zwykle wygrywał, że przy ostrożności i zimnej krwi łatwo się ustrzedz może przed stratą i że polski szlachcic, do którego chciał wstąpić na służbę, podług świadectwa sekretarza, lubił co jakiś czas bawić się z urzędnikiem grą w karty.

Demon gry używa przy chwytności ludzkich dusz tylko jedynej i do tego bardzo prostej i przezroczywej metody, a jednak tysiące mądrych i ostrożnych ludzi staje się ofiarami tych kilku znanych forteli, z których się składa cała jego piekielna sztuka. Jak więc dziw, że się pan Hordliczka pomimo swoich siwych włosów niedługo trzepotał w jego sieci.

Z początku poświęcił większą uwagę zajmującej twarzy pana sekretarza, siedzącego naprzeciw siebie, niż malowanym papierkom, które trzymał nieprzytomnie w ręku i słuchał z roztargnieniem nauki, której mu udzielał pośrednik w wyszukiwaniu miejsc, zrzekłszy się wspaniałomyślnie gry, aby mózgi przyjacielowi początkującemu pomagać.

Ale stopniowo zaczęła się u niego pokazywać ta ześrodkowana uwaga, którą piętnuje demon hazardu swoje ofiary. Ręka ścisnęła karty mocniej, wargi się zacięły, oczy rozszerzyły, a delikatna jego twarz, pochylona łakomie naprzód, nabywała ostrzejszych rysów.

Pan Hordliczka wygrywał. Palcem kurezowo skrzywionym odsuwał swoje wygrane i spoglądał od czasu do czasu błyszczącym okiem na rosnącą kupę pieniędzy przed sobą, przyczem gonili się w jego

duszy niejasne obrazy rozkoszy, których sobie będzie mógł pozwolić za nie.

A potem przyszła kolej na drugą połowę metody, której domon używa. Kupa topniała, topniała w oczach, Hordliczka napróżno spoglądał pożądliwym okiem na nienasycony kruszec, zanim się spostrzegł, była przekroczona fatalna granica: musiał sięgnąć do własnego pugilaresu. A w nim niebyło nic zbytecznego! *Status quo* musiał się wrócić, tak czy owak! Precz poszły niejasne obrazy rozkoszy, jakie sobie obiecywał, a miejsce ich zajęły niewyraźne, ale straszne obrazy wyrzutów żony i córek, skargi pana Jastrzębia i hańby.

Znajdował się już zupełnie w pętach demona. Gra jego była gorączkowa, szalona: twarz jego pokryła śmiertelna bladeść, wargi się trzęsły, oczy błyszczały gorączkowo, a po zoranem czole spływały krople potu. Przytem zdawało mu się, że panuje również gorączkowy ruch koło niego; zdawało mu się, że palce współgraczyw biegają, migocą się, jak palce muzykantów na kościelnym chórze przy najszybszym ruchu batuty, że karty, szeleszcząc, latają tu i tam nad stołem, że białe, wirujące, zamglone szklane kule latają naokoło lampy w szalonym wirze.

A jak zręczny szermierz niedoświadczonego przeciwnika swego rozplówienia, rzekomo ustępując do nierozważnego kroku, a sam z zimną krwią wystawia się na nieszkodliwy cios, aby mu tem łatwiej było dosięgnąć go śmiercionośnym żelazem, tak uży-

jak straszne *mane tekel*, grożące „jutro” pismem ognistym na ciemnym tle powietrza, a rój kłopotów oblatywał jego czoło stroskane.

Nie wiedział nawet, w jaki sposób znalazł się nareszcie przy drzwiach swojego mieszkania. Spojrzał w górę ku staremu tumowi, a zpośród kamiennych potworów wynurzyła się odrazu postać lichwiarza, przyciskająca do serca posrebrzony światłem miesiąca worek. Przyglądał się jego rysom, tym twardym, kamiennym rysom, które mu wyobrażenia zmieniała w rysy pana Jastrzębia. Żądał swojego procentu z kamienną natarczywością.

Na palcach wszedł pan Hordliczka do swego pokoju. Na szczęście, nie przebudził nikogo. Ubrany rzucił się na łóżko, ale sen nie chwycił jego oczu.

Widział naprzeciw na łóżku dziecianną twarz Jarosława, jasno oświetloną pręgą księżycowego światła. Wyglądała sama, jak odbłask księżycy, w części ocieniona gęstymi, czarnymi, potarganymi kędziorami, częścią okryta przykrywką. Cała była okryta srebrzystym odcieniem księżycy. Czuwającemu ojcu zdawała się ta blada, łagodna twarz z zamkniętymi powiekami bolesnym wyrzutem. Lepiej niż kiedykolwiek zrozumiał w tej chwili, że ten chłopiec musi zginąć w twardym świecie, że ulegnie własnej słabości, jeżeli się nad nim nie rozciągnie opieka silnej, ochronnej ręki. A ręka tego, który miał być jego ochroną, przed chwilą... pan Hordliczka zamknął oczy.

Ale jego duch tknął pasmo wyrzutów dalej.

Słyszał słodki, odmierzony oddech drogiej tych osób, powierzonych jego opiece, które w tej chwili bez troski drzemały, nie domyślając się trosk dnia następnego.

Słyszał znane tykotanie starego, ulubionego zegara. Jak miło tykotał tam w Supowie, kiedy bez kłopotów podczas zimowych wieczorów z Walter-Scotem w rękę huczenia wichru koło zamku słuchał.

Potem usłyszał w sąsiednim pokoju stłumiony, słaby głos chorej staruszki za parawanem, szepczący przez sen słowa bez związku:

— Otwórz panu hrabiemu! Gdzie mój Joujou? Więcej rodzynek... piękna papuga...

Nagle doleciała do jego ucha jakaś cichutka, słodka melodia. Odezwała się ona raczej w jego duszy. Nie pochodziła z zewnątrz, dźwięczała w jego wnętrzu, w najtajniejszej głębi jego istoty. A była tak łagodna, tak znajoma, tak słodko uspakajająca, że stary mąż zapomniał o swej męce i że przypiewywał ją sobie, jak kołysankę, tylko wewnątrz, ustami duszy. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie słyszał tę melodię. Długo myślał, zabiegał wstecz daleko w czasy minione i nareszcie rozjaśniło się w jego pamięci. Widział izbę jasno oświetloną, pośrodku stała mała jodła, której zielone gałęzie pochylały się pod ciężarem połączonych jabłek i orzechów w świetle niezliczonych drobniutkich świeczek, widział ojca i matkę, widział wystrojone duże

siostry, o, tak duże wobec niego, który tu stał jako mały smukły chłopczyzna z kędzierzawą głową i przyciskał mocno do piersi połączoną tajemniczą szkatułkę, otrzymaną na gwiazdkę. Napróżno odgadywał, co się w niej mieści, napróżno starał się razem z małą siostrą otworzyć pomalowane wieko; nareszcie pomogła mu babcia, pociągnęła za sznurek, a chłopczyk usłyszał tę cichą, słodką melodię, która teraz, po tylu latach, w takiej chwili znów zabrzmiała w smutnej jego duszy. Oczy pana Hordliczki zarosły się łzami.

Przy lubych, słodko zamierających kadencyach tej dawno, dawno przebrzmiałej, gwiazdkowej melodyi, tej dawno oniemiałej samogrającej szkatułki, zasnął pan Hordliczka.

Kiedy się przebudził, stała przy jego łóżku pani Hordliczkowa, majestatycznie wyprostowana, w śnieżnym negliżu, z surowem wybladłym obliczem, jak anioł sądu, żądając przedewszystkiem pieniędzy na kawę.

Pan Hordliczka przymknął oczy przed tem straszmem zjawiskiem, ale ona przywoływała go do nieubłaganej rzeczywistości.

Zająknął się, że spóźnił się zająć po emeryturę, zatrzymywany późno w noc w pewnym przyjacielskiem kółku.

Wysłuchał potem ze skrucą masy wyrzutów, które spłynęły na jego głowę, i poprawiwszy sobie jako tako ubranie, oddalił się z zapewnieniem, że najdalej za godzinę wróci z pieniędzmi.

Szedł za jedyną gwiazdą zbawienia, która błyszczała na ciemnym jego horyzoncie, szedł prosto do pana Jastrzębia.

Ów nie był w tej chwili w różowym humorze. Nie ściągnął podczas wejścia swego dłużnika nawet sznurka od szlafroka, podszedł do niego z niedbałym skinieniem głowy i rzekł:

— Aa, pan przychodzi zapłacić swój weksel. Dobrze!

Pan Hordliczka, jękając się, musiał wyznać, że niema nawet procentów.

Brwi pana Jastrzębia ściągnęły się bardzo poważnie, a oczy jego powiększone, spoczywały groźnie na jękającym się dłużniku.

— To smutna rzecz — wycedził przez zęby, chodząc szybko po mieszkaniu. — Liczyłem na pańskie zapewnienie. Sprawił mi pan prawdziwy kłopot. Cóż więc zrobimy?

Podsunał jedno krzesło do swego fotelu, siadł w nim i milcząc, pokazał panu Hordliczce próżne krzesło obok siebie. Wyglądało to jak przygotowanie do spowiedzi.

Dłużnik siadł obok wierzyciela.

Ten zaś oparł się łokciami o bok wysłanego fotelu po stronie dłużnika, wsparł zakłopotaną głowę na dłoń i milczeniem swoim zdawał się mówić, że gotów jest słuchać. Drugą ręką przekładał czerwono lamowane końce szlafroka na nogach, jak spowiednik swoją stulę.

Pan Hordliczka zaczął się naprawdę trzęsącym

głosem spowiadać. Zrywał powoli cały ten nimbus, którym otaczał do niedawna jeszcze otaczał pan Jastrząb, wokoło swojej siwej głowy i odsłonił swoje rodzinne tajemnice o tyle, o ile było potrzeba dla dowiedzenia, że musi jeszcze bezwarunkowo pożyczyc większą sumę pieniędzy, zanim się jego stosunki poprawią.

Pan Jastrząb milczał jeszcze chwilę i myślał. Nareszcie podniósł głowę, obrócił twarz do pana Hordliczki i rzekł:

— Jeżeli mi pan dasz część swojej emerytury w zastaw, pomogę panu jeszcze jaką sumą.

Ale pan Hordliczka zląkł się poprostu tej niewinnej propozycji. Wyrzekł cicho, ale stanowczo, że zdecydowałby się na krok podobny tylko pod wielkiem naciskiem nieszczęścia. Na samą myśl takiego dzielenia emerytury w głównej kancelaryi, rumienił się ze wstydu.

Pan Jastrząb starał się pozbawić go uprzedzeń, dowodząc, że w dzisiejszych czasach „czysta” emerytura jest czemś niezwykłym i że zastawianie emerytury nie jest gorsze od przyjmowania kapitału na hypotekę. Innego dłużnika byłyby z pewnością przekonał, że niezastawiona emerytura jest tem, czem pole leżące ugorem, ale pan Hordliczka przekonał się nie dał.

Pan Jastrząb pograżył się w rozmyślanie. Nagle machnął ręką i zawołał:

— Dobrze! Pożyczę panu jeszcze cokolwiek na pańskie słowo. Zróbmy sobie króciutki plan!

Pisał ołówkiem cyfry na papierze.

— Tyle czyni stary weksel, przedłużony do tego dnia. Tyle procent płatny dziś, jeżeli czekać będą do tego dnia. Tyle nowa pożyczka z procentem naprzód do tego dnia. Razem tyle. Jak pan widzisz, policzyłem panu tylko mały procent i rozdzieliłem bardzo korzystnie dwie spłaty. Podpisze mi pan na każdą z tych trzech sum po wekslu.

Choć się pan Hordliczka trochę zastanowił nad sumą tej trójki wekslowej, kiwnął jednak raźnie głową.

— I przynies mi pan na wekslach również podpis swej żony.

Pan Hordliczka zląkł się niemniej podpisu swej żony, niż przed chwilą zastawienia emerytury. Ale kiedy spojrział w chłodne, zdecydowane oczy swego wierzyciela, odpowiedź zamarła mu na ustach.

Niemam chęci, ani daru do psychologicznych opisów podobnych scen, jaka się odbyła w pół godziny po tem w domu pana Hordliczki przy zamkniętych drzwiach salonu, w którym udało się mojemu bohaterowi umiejscowić tę domową potyczkę.

Poprzestane na treściwym powtórzeniu tego, co słyszały obie córki z Jarosławem, tuląc się do siebie w przyległym pokoju, jak ptaszęta przed burzą. Słyszały despotyczny głos matki, szepty ojca, jęk, ciężki upadek na krzesło, łkanie, burzę narzekań i gniewu, słabnącą zwolna i kończącą się cichemi westch-

nieniami. Potem długą chwilę w salonie paanowało zagadkowe milczenie.

Nareszcie otworzyły się drzwi i wyszła pani Hordliczkowa, podobna ogromnie do Maryi Antoniny na obrazie, wiszącym na przeciwległej ścianie i przedstawiającym nieszczęśliwą królową, idącą z tłumionym płaczem w oku i pogardą na twarzy, w towarzystwie dzikich Jakobinów, do więzienia w Temple. Miała zapłakane oczy i przyciskała do ust wilgotną, białą, batystową chustkę z herbem Podwalskich, wyszytym w rogu.

Milcząc, podeszła do biurka, umoczyła pióro w muszli z atramentem, którą trzymał w prawicy mały, porcelanowy Tryton, i podpisała trzy razy swoje nazwisko bez zwykłego dodatku: „urodz. Podwalska,” na trzech paskach papieru, które przed nią pan Hordliczka położył. Uczyniła to z ruchem obrzydzenia i odrazy, trzymając ostrożnie rękę zdaleka od fatalnego papieru, jakby się lękała dotknąć brzydkiego pajaka. Pan Hordliczka wyjął muszlę z lewicy Trytona i zasypał piaskiem podpisy i łąkę, która na ostatni z nich kapnęła.

W pół godziny potem były znów pieniądze w domu. Owa burza miała bardzo dobry wpływ na naszą stroskaną rodzinę. Oczyszcziła powietrze z różnych przesądów i rozpostarła wielką jasność nad stanem rzeczy.

Na rodzinnej naradzie uznano potrzebę oszczędności i ograniczeń. Pani Hordliczkowa poparła propozycję Julii, aby oddali służącą, a nawet nie miała

nie przeciwko temu, aby sobie głowa rodziny znalazła jakieś podrzędne miejsce w jakiej kancelaryi lub kantorze i aby się starała też dla Jarosława wyszukać jakie użyteczne zajęcie.

Pan Hordliczka nie odkładał urzeczywistnienia się swego przedsięwzięcia. Zaraz nazajutrz po rodzinnej naradzie udał się z Jarosławem w drogę, aby wyszukać obecne mieszkanie starego, komicznego szlachcica, który z nieboszczykiem hrabią do Supowa przyjeżdżał. Liczył na jego stosunki z wyższym światem.

W domu hrabiowskim powiedziano mu, że rycerz Komarowski — takie było nazwisko naszego szlachcica — wkrótce po śmierci starego hrabiego z pałacu się wyprowadził i dano mu zarazem obecny jego adres.

Pan inspektor wybrał się zaraz do oznaczonego domu na odległej ulicy i znalazł tam rzeczywiście na jednych drzwiach trzeciego piętra bilet z napisem: „Rycerz Komarowski z Komarowa.”

Pociągnawszy zardzewiałą rękojeść dzwonka, usłyszał szurganie krzesłem, szelest papieru, potem szybkie kroki ku drzwiom, w których się ukazał sam rycerz Komarowski.

W spojrzeniu jego znać było rozczarowanie. Był prawdopodobnie przygotowany na inną wizytę i teraz kosztowało go wiele trudu, aby zamienić uniesiony wyraz twarzy w pobłażliwy uśmiech.

— Ach, starzy znajomi z Supowa! Oh, Supów! — zawołał z uczuciem, gdy mu się zmiana w twarzy nareszcie udała.

Wprowadził gości do ciasnego przedpokoju, który był zupełnie pusty. Gdy zamknął za sobą drzwi i chwilę zatrzymał się przed nimi i schylił głowę w dziwnej peruce, a ręce schował w poły wyblakłego surduta, uderzyła ich jego starość w tej próżnej przestrzeni, z zapleśniałymi, bezbarwnymi dywanami na gołych ścianach, gdzie nic im nie przeszkadzało obserwować starości szlachcica.

Nawykli widywać go wśród promieni, które padały na niego od strony bogatego dobroczyńcy, dziwili się, gdy zobaczyli przed sobą, bladego i bezbarwnego, jak zakurzone szklane cacko, oderwane od bogatego świecznika, gdzie do niedawna grało wszystkimi barwami tęczy.

Przypomnieli sobie, jak się im przedstawił ten pan po raz pierwszy, wychodzącym przed supowskim pałacem z aksamitnego wnętrza powozu, opierającym się zlekka o ramię lokaja w liberyi, który mu pomagał wysiąść z powozu; teraz przychodzi własnoręcznie otworzyć drzwi ciasnego im próżnego pokoju! Zdawało im się, że znacznie schudł i zdrobniał, że i komiczny odcień palcem czasu znacznie został starzy z jego osoby.

Widzieli na nim to samo ubranie, które miał na sobie ostatnim razem w Supowie, ale zdawało im się nieprawdopodobnem, ażeby w tak krótkim czasie tak bardzo się znosiło.

I peruka jego jakoś zsiwiała i była potargana; wyglądała ona tak, jakby służyła przez długi kawał czasu za zabawkę myszom, co posłużyłoby do wytłóma-

czenia braku jednego promienia włosów na skroni, którego brak zauważyli nasi przyjaciele za pierwszym spojrzeniem na to dzieło sztuki perukarskiej.

Nawet kwiatek, który rycerz Komarowski nosił według zwyczaju w dziurce od surduta, był zupełnie żółty, jakby tam wędnał od lat wielu.

Szczególniej boleśnie wyglądał ten naszego rycerza dotknął Jarosława.

Postać ta zrosła się z dzieciną jego przeszłością; przedstawivszy się zaś obecnie bez zwykłej aureoli, pozbawiła go jednego kwiatu z wieńca młodzieńczych iluzyj.

Jarosław miewał zawsze szczególną sympatyę dla dziwnego szlachcica. Wyrosła ona bez wątpienia z wdzięczności.

O ile mógł sięgnąć pamięcią w minione lata, miewał dlań ten stary pan zawsze miłe słówko i jaki przysmak w połach staroświeckiego surduta. O, te poły miały honorowe miejsce w pamięci chłopca. Patrzył na nie zawsze z szacunkiem i myślał sobie, że są one jak worki zaczarowane w bajkach, do których szczęśliwy właściciel tylko rękę wyciągnąć potrzebuje, aby mieć wszystko, czego serce zapagnie. I rzeczywiście, rzadko kiedy były puste.

I w tej chwili przyszło Jarosławowi do głowy mimowoli, że jak tylko stary pan wyjmie ręce z kieszeni w połach, ujrzy w nich jakie przysmaki; ale rycerz wyjął ręce puste i tylko chudym palcem poklepał chłopca po twarzy, mówiąc:

— Jakże wyrosliśmy, jak się rozwinęli! Ach, człowiek się starzeje—tak starzeje!

Potem zaprowadził gości do drugiego pokoju.

— Nieurządzone mam jeszcze mieszkanie — tłumaczył się na progu.

Urządzenie pokoju było rzeczywiście bardzo prymitywne.

Kilka sztuk prostych starych sprzętów, podobnych do pomieszanych resztek kilku zrujnowanych rodzin, na podłodze w kącie kupa książek, potłuczona gitara, zakurzona szachownica razem z zasmolonymi figurkami, na starej skrzyni tors gipsowy, przedstawiający na gustownej podstawie ładnie wykonaną wierzchnią część surduta i kołnierz jakiegoś olbrzyma ducha, a przed nim szereg rumianych jabłek — to był cały ruchomy majątek naszego rycerza.

O mało co byłbym zapomniał o jednym wgłębieniu w murze, w którym zubożały szlachcic przechowywał ostatnie ślady sławy swojej; wisiały tam obok siebie wyobrażenia wierne pod względem heraldycznym herbu rodzinnego i pejzaż w tawim oleodruku z podpisem: „Widok ruin zamku w Komarowie”, pod nimi zaś starożytny kindżał w podartej, skórzanej pochwie.

Rycerz wskazał swoim gościom jedyne dwa stołki w pokoju, a sam siadł na skrzyni, rozciągnawszy na niej poprzednio jakiś kawałek woskowanej materii, która dotychczas zakrywała przed ich oczami jego stół do pisania. Ta zastona miała okrywać fizyo-

gnomię jego stołu, prawdopodobnie przed innymi oczami osób, których odwiedzin oczekiwał.

Odkryty stół miał formę biurka w kantorze handlowym.

Był gęsto pokryty listami i kopertami, z których niektóre były już zapieczętowane i napisami opatrzone. Obok potrzeb piśmiennych znajdowały się na nim książki adresowe i wycięte z gazet adresy mieszkań różnych cudzoziemców, zamieszkałych po różnych hotelach miasta.

Starszy Hordliczka niechęć zawadził o świeże napisy kilku kopert i ujrzał na nich obiecujące początki: „Oświecony”, „Jaśnie Oświecony”, „Eminencya” i t. p. Przypomniało mu to cel jego odwiedzin.

Opisawszy swój stan kłopotliwy, zwrócił się do starego szlachcica z prośbą w formie zapytania, czyby nie zechciał, na podstawie swoich stosunków z wyższym towarzystwem, uczynić czegoś dla swego starego znajomego i jego syna.

Rycerza Komarowskiego wzruszyło, zdaje się, to zaufanie.

— Mam trochę stosunków z kołami arystokratycznymi — rzekł i lekki rumieniec pokrył przy tych słowach jego twarz — i będę się starał, abym panu wpływem swoim, choć bardzo ograniczonym, mógł posłużyć. Lecz muszę z żalem wyznać, że światło pięknych cnót w naszej szlachcie ginie w oczach. Oddech kramarskiego stulecia zanieczyścił już i to wzniosłe i jasne zwierciadło, w którym odbijał się

dotychczas najczystszy, najdostojniejszy obraz ludzkości. My obaj staliśmy się ofiarami tego kramarstwa. Spędziwszy niemal połowę żywota pod gościnną strzechą szlachetnego przyjaciela, byłem pod koniec życia wygnany z cichego schronienia, wypędzony na zawsze, jakby w tym rozległym pałacu nie było kątki, gdzieby mógł zestarzały przyjaciel domu spokojnie umrzeć. Wygnali mnie i wyrzucili za mną tę warstwę książek tam w kącie, com sobie, jako jedyną pamiątkę po drogim, wzniosłym duchu, po ostatnim prawym szlachcicu, z trudem wyżebrał. Tu kurczę się w najętym kącie u obcych ludzi, a tam nie wiedzą, czem zapełnić te dwa, czy trzy pokoje, z których mnie wyrzucono.

Przy tych słowach podniósł się szlachcic i podszedł do owego wgłębienia w ścianie. Zdjął ze ściany starożytny kindżał i obnażywszy go ze starej pochwy, próbował na palcu ostrości jego zardzewiałego ostrza.

Potem zaczął chodzić po pokoju i machając obnażoną bronią przodków w powietrzu, ciągnął dalej swoją filipikę:

— Tak, doczekaliśmy się smutnych czasów. Gdzie się podziała owa wielkość duszy, gdzie święty honor byłej szlachty?! Kto widział kiedy przedtem giełdziarskich graczy z hrabiowskiemi koronami na spinkach mankietów? Już, już pada ostatnia twierdza idealniejszych dążeń — tu stanął rycerz przy skrzyni i zdjął jedno z zarumienionych jabłek —

a prosty, brutalny materializm wciska się zwycięzko licznemi wyłomami.

Przestał na chwilę mówić i oglądał piękne jabłko ze wszystkich stron.

— Smutny, bardzo smutny to widok — zaczął znów i rozkładał przytem jabłko kindżałem na dwie równe połówki — kiedy widzimy...

Ale nie dokończył obiecującego frazesu. Biegł oczyma z połowy na połowę i namyślał się prawdopodobnie, którą napocząć. Lecz przypomniał sobie w porę niewłaściwe swoje postępowanie; aby więc swój błąd naprawić, wybrał kilka jabłek i podał je na talerzu gościom.

— Są bardzo smaczne. Żaden szczególniejszy gatunek, ale jednak znakomite. O, jabłka to szlachta naszego krajowego owocu. W Supowie w parku było kilka doskonałych jabłoni. A jakże się ma szanowna małżonka?

— Dziękuję za łaskawą pamięć. Jest zdrowa.

— O, pani Hordliczkowa jest znakomitą kucharką. Wspominam bardzo często niektóre potrawy, które w towarzystwie zmarłego przyjaciela, pana hrabiego na Supowie, spożywałem. W tej chwili przypominam sobie pieczoną rybę; — zdaje mi się, że widzę ją przed sobą, połyskującą łagodnym złocistym odcieniem, gęsto przekładaną plasterkami cytryny. Wiem, że chcesz pan rzec, iż pieczona ryba nie jest przedmiotem odpowiednim dla popisu wszechstronnie wykształconej kucharki. Ale zapewniam pana, że

właśnie w takich, napozór prostych i przypadkowych szczegółach, okazuje się prawdziwy geniusz kucharski. A jak się mają córeczki? Chciałbym znów zobaczyć tę piękną dwójkę, która w moich oczach rosła i rozwijała się, jak dwa pączki na jednej gałązce. Co się tycze synka pańskiego, chodzi przede wszystkim o to, jakiemu powołaniu ma się poświęcić. Mówiłeś pan, że studyować nie chce, że niema daru do nauk technicznych, a do rzemiosła jest za słaby i że brak mu energii i zmysłu praktycznego niezbędnego w handlu. Przy takim stanie rzeczy wybór jest utrudniony. Gdybyś pan chciał usłyszeć moje zdanie, powiedziałbym panu na podstawie długoletniej obserwacji tego młodego pana, że stanie się bezwątpienia — no, czemuż pan sądził?

Starszy Hordliczka przyglądał się młodszemu od stóp do głowy przez chwilę, poczem wzruszył ramionami.

— Poetą — wyrzekł rycerz tonem głębokiego przekonania.

Pan Hordliczka zauważył nieśmiało, że to chyba nie będzie korzystnym stanowiskiem.

— Z punktu materialnego korzyści takiego powołania są nader skromne — zauważył rycerz. — Ale, bądź co bądź, jest to zadanie piękne, a według mnie, użyteczne. Bywają chwile, kiedy i rozumny człowiek sięgnie po książkę z wierszami. Naprzykład, jeżeli pan spacerujesz samotny w lesie, usiądziesz sobie w cieniu stuletniego dębu, słyszysz nad gło-

wą kukanie zuzuli w oddali, albo gdy podczas długich zimowych wieczorów siedzisz pan w ciepłej izbie — zapewniam, że miewasz najpiękniejsze sny, gdy zjesz przed spaniem miśnieńskie jabłko i przeczytasz sobie przytem jaki wiersz, np. *Lamar-tine'a*.

Pan Hordliczka zauważył, że otrzyma ten sam skutek przez zjedzenie samego jabłka bez poezji.

— Wszystko jedno — rzekł szlachcic. — Wypowiedziałem swoje osobiste przekonanie. Tymczasem zostawię przyszłego poetę na stronie. Mam nadzieję, że mi się uda naprowadzić go na drogę jakiego prozaicznego powołania. Cieszyłbym się, gdyby czasem wstąpił do mnie na godzinkę za pomocnika przy tej pracy — tu wskazał na listy leżące na stole — wydoskonali się przy tem w kaligrafii i stylu i rozszerzy napewno swój życiowy widnokrąg.

Stary Hordliczka zgodził się chętnie.

Od tej chwili otworzyło się dla Jarosława pierwsze pole działalności.

Spędzał codzien kilka godzin u starego rycerza, wycinając ogromne koperty na listy i wypisując kaligraficznie obszerne i górnołotne adresy i pieczętując gotowe listy ciężką żelazną pieczętą, z wrytym na niej herbem rodzinnym Komarowskich. Podziwiał naprawdę rozległą korespondencję swego protektora z mnóstwem dobrze urodzonych osób w mieście i na prowincyi.

Czasami sam roznosił te listy; lecz urząd ten nie wywoływał stosunku z właścicielami wyso-

kich tytułów, do których adresował koperty, lecz z ich szwajcarami, których majestatyczne i błyszczące postacie często przedtem podziwiał, ale którzy go teraz przekonali, że nie wszystko złoto, co się świeci. Poznał, że nigdzie nie ukrywa się tyle brutalności, jak poza złocistą liberyą portyera.

Za takie jednak kłopotliwe wyprawy bywał nagradzany godziną zabawy, którą przepędzał u swego projektora.

Zamykał on drzwi na dwa spusty i zapalał spirytyś na blaszanym przyrządzie, który niedługo potem, otoczony błękitnawym płomykiem, szumiał wesołą melodyą; przy szklance nektaru chińskiego siadali naprzeciwko siebie, starzec i młodzik, pierwszy opowiadając żywo, drugi zaś przysłuchując się i goniąc marzącami oczyma błękitnawe płomyki, które słabo skakały wokoło blaszanego przyrządu, gasnąc zwolna na jego brzegach.

Był straszny letni skwar.

Wszystko padało i wędzio pod rozpalonym jego oddechem.

Biada temu, kto w takim czasie pograży się w przestrzeń zakurzonego światła, padającego przez wysokie dachy do dusznej kancelaryi, przykuty do stolika, nad którym spędza osiem godzin dziennie, przepisując suche formuły prawnicze. Cóż za dziw, że często przerywało się skrzywienie piór, i że lenistwo, jak ołowiany ciężar, kładło się na zgarbione postacie dependentów.

I w kancelaryi dra Prawosława Zamotala znać było pewną apatyę.

Pióra przepisowaczów wlokły się po papierze, jak zreumatyzmowane, registrarator pograżał się nad każdą prośbą egzekucyjną w rozmyślania filozoficzne, zanim ją nareszcie odłożył, sam nawet młody konceptista przy oknie poświęcał więcej uwagi wróblom na oknie przeciwległego domu, niż faktycznym okolicznościom w skardze przeciwnika, które czekały na jego wyjaśnienia.

Na domiar złego o takiej porze rzadko kiedy przychodzi „strony.” Przez całą godzinę bywają drzwi gabinetu szefa otwarte, a dr. Zamotal zwraca bystrym słuchem uwagę na leniwe skrzywienie piór, rozeznaje każde *staccato*, każdą pauzę w tej skrzypiącej muzyce kancelaryjnej i wynurza się czasem ze swojej świątyni, aby złośliwym przerzuceniem fascykułów pobudzić apatyczną orkiestrę do żwawszej czynności.

Jedyna iskierka nadziei utrzymywała nieszcześliwych dependentów nad przepaścią rozpacz.

Szef wspominał coś przed miesiącem o wycieczce do wód i rozdmuchiwał odtąd obiecującami przygotowaniami płomyk nadziei w myśli swojego personelu.

Podawał prośby o trzy miesiące prolongaty dla upływających terminów, dyktował listy z aluzjami do obmyślanej wycieczki i kazał sobie zrobić elegancką walizę, którą przyjmował z rąk rymarza w kancela-

ryi z wielką ostentacją. Okazywał również wielką pilność, aby załatwić najważniejsze interesy, które rosły mu pod rękami. Pełni nadziei pisarze dobywali rozpaczliwie resztek sił, aby chlebobdawcy swemu usunąć z drogi do wód wszystkie przeszkody.

Tylko stary registrator, którego cała postać odychała najczarniejszym pesymizmem, kręcił sceptycznie głową. Wyrażał przypuszczenie, że wycieczka doktora to prosty podstęp wojenny. A jego przypuszczenie nabierało prawdopodobieństwa. Najpilniejsze sprawy oddawna pozatławiano, dr. Zamotał grzebie we wszystkich kątach registratora, aby znaleźć dla swojej kancelaryi w martwym sezonie jakąś robotę, a elegancka waliza, zdaje się, uległa zupełnemu zapomnieniu.

Beznadziejna apatya wznosi się znów nad kancelaryą.

Dzięki Bogu! Strona. Wszystkie oczy przywitały radośnie jej zaniepokojoną postać. A kiedy się za nią drzwi sanctissimum zamknęły, każde pióro znalazło się odrazu za uchem. Zgarbione plecy się prostują, ręce wyciągają, wszyscy starają się skorzystać z krótkiej chwili odpoczynku.

Wtem zapukał znów ktoś do drzwi i do kancelaryi wchodzi pan Jastrząb z miłym uśmiechem i poczyna sobie tu, jak stary znajomy. Podchodzi poufale do pisarzy, podając im tabakierkę i siada na krześle z niedbałością przyjaciela domu.

— Uf, co za gorąco! — mówi, ocierając czoło

rażąco pstrą chustką. — Szczęśliwy, kto może obecnie pokazać miastu pięty!

— A jednak są tacy, co mogąc, siedzą w dużej kancelaryi—odpowiada registrator z ironicznym odcieniem.

Pan Jastrząb rzucił oczyma w kierunku sanctissimum. Jako stary, poufaly znajomy, wtajemniczony był w sekrety kancelaryi.

— A co pan nam przynosi? — zapytał pobłaźliwie młody koncepista.

— Bagatelę. Trzy skargi wekslowe.

— Ba, pan Jastrząb ma dla nas zawsze coś pod ręką.

— Szkoda. Złe czasy nadeszły dla poczciwego kupca; krwawo zapracujesz każdy grosz, a gdy go dasz między ludzi, bez egzekucyi ci nie zwróci. Jeżeli tak pójdzie dalej, pozostawię dzieciom torbę żebraczą.

— Wypchaną banknotami—wtrącił jeden z pisarzy.

— Ja nie żartuję, panowie—zapewniał pan Jastrząb.—Patrzcie na te trzy kawałki papieru. Kosztowały mnie grubą sumę pieniędzy i nareszcie poświęcę sobie niemi przy czytaniu bardzo długiego rachunku za prowadzenie sprawy. Dałem się znów pochwycić na lep jednemu z tych starych, poważnych, poczciwych panów. Teraz wiszą moje pieniądze w drogich strojach na jego córeczkach, a ja...

— Co, dłużnik pański ma córki? — zapytał inny pisarz, cieszący się wśród kolegów reputacją Don Juana.

— I jakie córki! Dwie, jedna piękniejsza, niż druga...

— To pójdę do nich na egzekucję! — zawołał pisarz.

— Dziwny początek znajomości! Mnie jego emerytura miłszą jest, niż obie córki razem. Jest to emerytura dotąd zachowana jak panienska. Zarumienił się ze wstydu, kiedy tylko napomknął o jej zastawieniu. Dnie jej panieństwa są teraz naturalnie policzone.

Łatwo dający się rozśmieszyć personel wybuchnął śmiechem, ale śmiech ten umilkł odrazu, jakby uciał, gdy otworzyły się drzwi gabinetu. Pan Jastrząb zastąpił pierwszą „stronę”, odchodzącą z większym jeszcze smutkiem, niż przy wejściu.

Po chwili wyszedł także pan Jastrząb, a dr. Zamotał poklepał go jeszcze we drzwiach po ramieniu z zapewnieniem:

— Nie bój się pan, wszystko pójdzie gładko!

I jeszcze tego dnia założył stary registrator nowy subfascykul z napisem: „Jastrząb contra Hordliczka.”

Po jakimś czasie przedstawił się pan Hordliczka osobiście w kancelaryi.

Od swojej pierwszej wizyty u pana Jastrzębia zmienił się bardzo. Zginęło gdzieś dostojne trzymanie głowy, broda chyliła się smutnie między rogi

szywnego kołnierzyka od koszuli, a wysokie czoło, zawsze tak gładkie, było poszarpane pługiem kłopotów. Nawet siwe włosy na jego głowie, zawsze tak starannie uczesane, były potargane, jakby wichrem zimowym.

Dr. Zamotał udzielił dłużnikowi tylko krótkiego posłuchania.

Kiedy mu się pan Hordliczka z zarumieniem przedstawił, trafił odrazu w sam środek zapytaniem.

— Może pan przychodzisz zapłacić?

Zdeterminowany dłużnik wyszeptał kilka słów bez związku z przygotowanej starannie mowy, wymierzonej do serca adwokata, którą dr. Zamotał swoim pytaniem wniwecz obrócił.

— Jeżeli pan nie myślisz płacić, fatyga pańska jest zupełnie zbyteczna — rzekł adwokat sucho i wziął w rękę pióro, aby prowadzić dalej zaczęłą pracę.

Pan Hordliczka wyraził się w ten sposób, że zapłaci wszystko do grosza, chociaż przez ten krótki czas zapłacił samych procentów więcej, niż kapitału otrzymał, i że prosi na wszystko o kilkodniową zwłokę.

— Powiedziałem już, że fatyga pańska była daremną — odpowiedział adwokat, nie podnosząc oczu od pióra.—W chwilach, kiedy przyjąłem sprawę strony, nie słyszę nic, oprócz jej głosu. Tylko jej głos może zatrzymać żelazny krok prawa, który prowadzi

prosto do wytkniętego celu. Prędzejbym zapomniał o własnej korzyści, niżbym opuścił jeden punkt z prawa swoich mandantów. Jeżeli pan zapłaci w ciągu trzech dni, rzecz będzie w porządku; jeżeli nie, sięgnę bez wahania do zbrojowni prawa po broń, jaką uznam za stosowną. Wszelka dalsza rozprawa w tym przedmiocie byłaby zbyteczną stratą czasu pańskiego... i mego.

Na ostatnie dwa słowa położył dr. Zamotal tak silny nacisk, że pan Hordliczka odchodził bez nadziei.

Dr. Zamotal rozkazał w tej chwili w kancelaryi, aby podkreślić dwa razy dzień podania egzekucyi Jastrząb contra Hordliczka.

Pod wieczór tego samego dnia zapukano nieśmiało i do kancelaryi weszła dziewczyna, na którą odrazu rzuciły się oczy całego personelu, niby wygłodniałe wilki na swoją ofiarę. Ta miła i powabna postać odcinała się wyraźnie w tej brudnej przestrzeni, która widywała najczęściej tylko niezgrabnych wieśniaków i skrzywionych synów Izraela. Oczy pisarzy spoczęły na tej zgrabnej postaci, stojącej nieśmiało pod krzyżowym ich ogniem, z rumieńcem wstydu na łagodnej twarzy, w pół oświetlona pręgą żółtego światła, które całowało ją namiętnie, jakby chciało wpić w siebie piękno, którego tak dawno już nie widziało.

Piękna strona wyszeptła ze spuszczonej oczyma pytanie, czy może się zobaczyć z panem doktorem?

Pisarz Don Juan poprosił ją najśłodszym odzieniem swego chrapiącego głosu, aby się chwileczkę zatrzymała, gdyż w tej chwili bawi ktoś u szefa kancelaryi.

Julia Hordliczkówna usiadła na podanem jej krześle, jak pod pręgierzem. Czuła niemal te pochłaniające ją spojrzenia, skierowane ze wszystkich stron na jej postać. Zdawało jej się, że wszyscy wiedzą, albo przypuszczają, po co przyszła.

Zwróciła oczy na końce trzewików, by się nie spotykać z badawczymi oczami kancelaryjnego personelu.

Pisarz Don Juan starał się napróżno zwrócić na siebie jej uwagę. Daremnie używał wszystkich fortelów swej sztuki: wzdychał głęboko, czochrał rudawe włosy, poprawiał kołnierzyk i krawat wyzywającej piękności formy i kolorów.

Sam koncepista przy oknie był dziś jego rywalem. Zerkał często okiem ku pięknej dziewczynie i poświęcał jej daleko więcej uwagi, niż wypadało na przyszłego adwokata, dla którego powierzchowność stron ma być tylko tem, czem dla szachisty ozdoba rzeźbiarska figurek na szachownicy.

Studyował ukwiecenie jej kapelusza, jakby je chciał podzielić podług systemu Lineusza, i badał gustowne bladuróżowe ubranie dziewczęcia tak starym, że nie uszedł przed jego wzrokiem ledwie widzialny odcień znoszenia, który widniał w jej odzieniu, jakby ten majowy ludzki kwiat owionął mroźny oddech życia.

Dr. Zamotal przyjął ją z wyszukaną grzecznością.

Podniósł się ze swego fotelu, z za barykady fascykułów i kodeksów, z pochlebne dla odwiedzającej szurganiem, odsunął daleko od siebie napisaną replikę i podał dziewczęciu krzesło z elegancją, na jaką się tylko mógł zdobyć.

Nawet wyznanie Julii, że przychodzi w imieniu swego ojca, by poprosić pana adwokata o dwudniową tylko zwłokę, nie ostudziło jego grzeczności.

— Żałuję bardzo — odpowiedział grzecznym tonem — że pani nie moge dać odpowiedzi innej nad tę, jaką dałem jej ojcu. Gdyby chodziło o mnie, cieszyłbym się, gdybym się pani mógł przysłużyć terminem jak najdłuższym. Ale gdzie chodzi o korzyść moich klientów, staje się automatem, który porusza się tylko jak sprężyna ich woli i nie ustąpi, choćby anioł z nieba stanął mu w drodze, jak sama pani widzi. Niech pani pomówi z panem Jastrzębiem.

— Ach, mój ojciec prosił go już kilkakrotnie, ale daremnie — wtrąciła Julia smutnym głosem i opuściła długie rzęsy, jakby wiosenną błyszczącą zwilżone rosą.

— Niech pani sama spróbuje pomówić z nim! Proście pani nie odmówi chyba — mówił dr. Zamotal, spoglądając to na dziewczę, to na gipsową Wenus, która, stojąc wśród cieplarnianych roślin w kącie sali, ukazywała się w całej nagości swych plastycznych kształtów.

Ów kącik był dla doktora Zamotala jakby zieloną

oazą, na której spoczywał czasem zmęczony jego wzrok, wydobywszy z pośród paragrafów; kącik ten był jakby ustępstwem, zrobionem dla nieprawniczej części jego osoby. Tam stały żardinierki z ulubionymi dziatkami Flory, tam wisiały w bogatych ramach podobizny drogich osób i rozliczne cacka, wyszywane kochanemi rękami; ztamtąd mierzył weń długie już lata gipsowy Amor połączoną strzałą. Reszta pokoju była poświęcona trzeźwej bogini prawa i pyszniła się mianowicie wysoką szafą, wypełnioną szeregami grubych książek, w których był przefiltrowany cały prawniczy rozum i dowcip, jak kropla lekarstwa w buteleczkach apteczki homeopatycznej.

— Ale jedną z tych skarg podała Rozyna Płocka — wyrzekła po chwili Julia. — Gdzie ja ją znajdę?

— Rozyna Płocka? Ach, ma pani rację, Rozyna Płocka — odpowiedział adwokat nieco wahał się. — Weksel był na jej imię *in blanco* napisany. Z nią może się pani porozumieć za pośrednictwem pana Jastrzębia. Zresztą radziłbym pani, ażeby sobie pani tych kroków oszczędziła. Wierzy cię dom rodziców pani chodzi o to, by sobie dla swoich sum zjednali jakąś pewność. Pierwszy stopień egzekucyi nie jest tak straszny. Przyjdą, spiszą stoły, krzesła, zegary, zwierciadła, i może się tem zaspokoją i ograniczą.

Pociecha ta jednak nie odniosła żadnego rezultatu.

— Nie ma więc żadnego ratunku? — pytała Julia, wstając.

— Żałuję bardzo, że nie mogę w tej kwestyi nic zrobić. Ach, ten żołnierz niegrzeczny zaczął halabardą o pani mantylę. Przepraszam! tak! Łotr! Ma prawdziwie żołnierskie usposobienie. Kupiłem go na wystawie sztuki. Polecam się łaskawej pamięci pani!

Na drugi dzień złożono podanie egzekucyjne do sądu.

Fascykuł Jastrząb contra Hordliczka rósł od-tąd aż miło. Przybywały do niego podania o areszt egzekucyjny, o otaksowanie, o licytację, o wstrzymanie egzekucyi i jakieś tam jeszcze, między które-mi kilka bardziej skomplikowanych, które młody koncypista opracowywał ze szczególnym pietyzmem.

Użyłem tutaj porównania z szachowemi figurka-mi; rzeźbiarska ich ozdoba jest dla gracza rzeczą obo-jętną, ale pomimo to dodaje grze większego powabu. Tak pisywał i młody koncypient ze szczególniejszą ochotą dla fascykułu Jastrząb contra Hordliczka, bo podczas tej pracy unosiła się przed wzrokiem jego duszy wspaniała postać Julii Hordliczkówny.

Ale wróćmy do domu pana Hordliczki. Tam od ostatniej naszej wizyty zaszły liczne, ważne zmia-ny. Przedewszystkiem stał się tam częstym gościem człowiek w długim surducie z dużemi mosiężnemi guzikami, z pliką papierów pod pachą, który prze-klinał za każdym razem tę drabinę bez końca, jak

nazywał schody starego domu, który lubił rozmawiać jakimś jakby energicznym, brutalnym tonem i do członków rodziny zwracał się z pewną nawet pou-fałością.

Raz przyniósł panu Hordliczce papier, na któ-rego widok ten pobladł. Był to areszt ostatni na połowę panińskiej emerytury. Pan Hordliczka odło-żył trzęsącemi się rękoma fatalny papier na stół i pochwyił głowę w obie ręce, nie dbając o to, że człowiek z mosiężnemi guzikami ruchy jego śledzi z zadowoleniem. Od tego czasu nie odwiedzał pan Hordliczka cichej kancelaryi głównej, nie kiwał głó-wą ze starym rewizorem i przestał zupełnie rozma-wiać o postępującej agonii zamku Supowskiego. Po sylał po połowę swojej emerytury Jarosława.

I znów przyszedł ów człowiek w liczniejszym towarzystwie, w którym się i pan Jastrząb znaj-dował.

Zachowanie się tego towarzystwa niosło na so-bie piętno jakiejś chorobliwej żywości i pośpiechu. Weszło ono z hałasem i pośpiechem, ze spojrzenia-mi i ruchami brutalnemi, stąpając nad miarę hałaśli-wie po kobiercach saloniku.

Człowiek z mosiężnemi guzikami zapowiedział panu Hordliczce podniesionym głosem, że przychodzi w celu wykonania egzekucyi, uzyskanej przez pana Ja-strzębia, to jest spisania, otaksowania, przejrzenia i przeniesienia wszystkich należących do niego przed-miotów, jako to: gotowych pieniędzy, cennych papie-

rów, klejnotów i biżuterii, pościeli, i tam dalej i tam dalej.

Po owem z należnym naciskiem wyrecytowanem ćwiczeniu stylowem przystąpiono niezwłocznie do dzieła.

Pani Hordliczkowa z Ireną uciekły do kuchni; pan Hordliczka siedział zmiażdżony, w rozpaczliwej rezygnacji przy oknie i pochylił głowę w dłoń, Julia stała blada za ojcem, opierając zlekka rękę o jego ramię i spoglądając ze strachem na scenę zupełnie dla niej nową.

Lecz najmocniej odbijało się wrażenie owej sceny na twarzy Jarosława. Straszny był dla niego widok, jak ci obcy mężczyźni bezkarnie chodzą wśród tych sprzętów, stanowiących wspomnienia jego dzieciństwa, jak grzebią niedelikatnie w szafach, na które spoglądał zawsze z niemy szacunkiem. Zdawało mu się, że palce tych nieproszonych gości swoim grubem dotknięciem ścierają pyłek niezliczonych pięknych snów i poetyczną aureolę całego jego dzieciństwa ze znajomych tych przedmiotów. Zdawało mu się, że dopuszczają się świętokradztwa w jedynej jego świątyni. Z żalem i gniewem spoglądał, jak poklepują niedbale rzeźbione fotele, jak przetrząsają z dziwnym uśmiechem pościel jego sióstr, jak przewracają pogardliwym dotknięciem porcelanowego Chińczyka, który mu niemymi ustami opowiadał tyle pięknych bajek o ślicznych pagodach i lekkich czółnach z jedwabnymi żaglami, jak wyciągają z babcinej szafy i przeglądają ze śmiechem starożytne

ubrania z wyblakłego aksamitu i jedwabiu, jakby wyrwali z trumny martwy przepych, jak to wszystko pod dziwnymi nazwami wpisują do protokołu i oceniają na kilka kopiejek to, co dlań miało wartość nieocenioną.

Przetrząsnęli wszystko, tylko łożo chorej staruszki zostało nietknięte. Pan Jastrząb spojrzął, co prawda, za malowany parawan, pociągnął za sobą sądowego egzekutora i rzekł:

— Patrz pan, jaki to szczególny dyadem!

Ale człowiek z mosiężnymi guzikami nie zauważył tych iskier, skaczących po śniegu stuletniej głowy, zobaczył tylko tę siwą głowę, to majestatyczne oblicze z zamkniętymi oczyma i odstał na palcach, choć się mu to z trudem udało przy jego dużych rozmiarach, i wyszeptał, kładąc gruby palec na usta:

— Cicho, panowie, tu leży chora!

Kiedy powrócili do saloniku, prosił pan Jastrząb sługę urzędowego, by nałożył pieczęć na niektóre rzucające się w oczy przedmioty.

Pan Hordliczka skubnął Julię i spojrzął ze strachem na mówiącego, lecz zaraz opuścił głowę w bezsilnej zadumie.

Ale Julia poczuła pod miękką swoją ręką owo skubnięcie i zrozumiała jego znaczenie. Wyjęła z zanadto skromną garstkę pieniędzy, które tam ukryła na najgorszą chwilę, i przystąpiła z rezygnacją do pana Jastrzębia:

— Nie czyń pan tego, proszę — rzekła błagalnym głosem. — Masz pan pewności dosyć. Proszę, przyjmij pan wszystko, co posiadam, na spłatę, tylko proszę, nie czyń pan nam zbytęznego upokorzenia.

Pan Jastrząg przerachował pieniądze, włożył je do kieszeni z pogardliwą uwagą, „że ta bagatela starczy zaledwie na zapłacenie kosztów!” i dodał:

— Niech i tak będzie! Uczynię to dla panil Zostawię sobie pieczęcie na drugi raz!

Po odejściu nieproszonych gości zapanował w rodzinie Hordliczków nastrój, który się przejawiał głośnymi uwagami i skargami matki i Ireny i martwą apatyą pana Hordliczki.

Następny poranek przyniósł im małą pociechę, przynajmniej pannie Irenie. W taki sam tajemniczy sposób, jak poprzednio bukiet, znalazł się teraz w jej ręku zwitek papieru.

Kiedy zerwała różowy sznureczek, przeczytała na pierwszej stronie zapelnionego nutami arkusza, ozdobnie drukowany napis: „Odgłosy szczęśliwej przeszłości. Polka-mazurka, N. N. Pannie Irenie Hordliczównie poświęca kompozytor. Nakładem własnym”.

W kilka dni potem czytała Julia przy blasku nowej lampy następujący list:

Droga Juliol

Piszesz mi, że nasza rodzina żegluję, jak słaba łódź wśród nieznanego morza, zaklinasz mnie, abym zakończył swoją nieszczęśliwą swawolną odyseę

i silną ręką ujął za ster rodzinnej nawy, której grozi zguba.

Silną ręką! Ta ręka z trudem trzyma pióro, za którym zataczają się jak pijane te wiersze.

Jakże pragnąłbym przelecieć ogromną przestrzeń, która nas dzieli, ale nieposłuszna noga prowadzi mnie ledwie do okna mojej celi więziennej, mojej komnatki ciasnej w rozległej twierdzy Pery, w której jestem przykuty niezłomnymi pętami choroby.

Tylko skrzydła duszy są wolne, lecz i te opadają smutne, beznadziejne. Opiszę ci którykolwiek ze swoich wieczorów. Za drzwiami w sieni cichną leciutkie kroki Haidie, której rączka przystoiła w tej chwili barwnym abażurem blask lampy przy mojem łóżku. Jestem samotny ze swemi myślami. Wyglądam oknem. Widzę za niem strzechę przeciwległego domu, którą sobie obywatele europejscy za pomocą żelaznych kratek i schodków zamienili w miejsce przechadzek wieczornych, gdzie mogą się bez obawy przed zuchwałością mahometańską małżonki ich i córki rozkoszować widokiem bajecznej gry barw, zmieniających co chwila wygląd niezliczonych strzech, minaretów i wierchołków cyprysowych. Z lekkiego, drewnianego pawilonu na dachu schodzi marzycielska młodziotka *miss*, siedząca tam całemi godzinami nachylona nad ozdobną książką, w której od pierwszego spojrzenia przypuszczałem Tomasza Moora. Schodzi otoczona miłym cieniem wieczoru, jak powstać z królestwa bajki.

Nad szczytem strzechy zgasiły ostatnie kolorowe

odblaski wspaniałego fajerwerku, w którego mieniących się falach świetlnych oko widza żegna widok wspaniałego Carogrodu, łączącego cały czar w tej ostatniej, na zawsze w pamięci zostającej chwili.

Szybko otula wszystko czarna zasłona nocy. Zwolna milknie oddalony szum miasta, od którego płyną dalekie, wrzaskliwe głosy ludzkie i zwierzęce, szmer niezliczonych kroków i dźwięki instrumentów muzycznych; milknie ten szczególny gwar miejski, podobny do huku fal morskich i szmeru lasów, pełen jakiejś kojącej siły dla osamotnionej duszy. Ale dla mnie jest obcym, niezrozumiałym ten język, który nie wymawia ani jednego znajomego dla mojej duszy przyjemnego wyrazu. I w tej chwili straszy mnie jak upiór myśl, że jest mi przeznaczonem spróchnieć pod obcą ziemią, której palącego żaru nie ochłodzi nigdy łza bratniego oka, na której twa ręka nie położy nigdy wieńca jako pamiątki pod tym cieniem samotnego i smutnego cyprysu.

Spoglądam znów w okno. Wzrok mój spotyka się tam z dużym, marzącym znajomem okiem. To księżyc zeszedł ponad grzebieniem przeciwnej strzechy i rozszrebrza kamienne, okrągłe balustrady minaretu, który mi się pokazuje częściowo wśród domów, jako biały, smukły cień, jak olbrzymi kamienny palec, podniesiony znacząco i z jakimś naciskiem ku niebu gwiazdzistemu.

Patrzę na srebrną, łagodną, melanchlijną twarz księżycy. Oj, stary, blady druha, tyś mi towarzyszył wiernie aż w te dalekie strouy i patrzysz na mnie,

jak patrzyłeś przez ciemne lasy Supowa na szczęśliwego chłopca, siedzącego w cichej izbie u nóg matczynych, budzisz we mnie tysiące błogich wspomnień, przynosisz mi pozdrowienie z dalekiej ojczyzny i wywołujesz łzy wdzięczności na spragnione widoku jej oczy. Dzięki, serdeczne dzięki!

Jak Child Harold, odtrąciłem bez litości ostatnią piędź ziemi ojczystej. Kiedym z zacisza Supowskiego przeszedł na pole publicznego życia naszej ojczyzny, kiedym wejrzał w społeczne jej stosunki, serce napełniło mi gorzkie uczucie złudzenia. Jakże inne było to wszystko, niż sobie dotychczas przedstawiałem! Jak smutny widok stanął mi przed oczyma! Widziałem, jak opada kamień po kamieniu z budowli, którą ojcowie nasi ze łzami natchnienia w oczach budowali; jak zapał święty coraz więcej ustępuje miejsca apatyi, kramarstwu, nędznej żądzy czci i własni stronniczej. Widziałem, jak wyśmiewają najdroższe swoje tradycje, jak dowcipkują nad własną hańbą swoją, jak odkrywają z żebraczą bezwstydnością swoje najstraszniejsze wrzody. Było mi tęskno w tem dusznym, zgnilizną napełnionem powietrzu, które wionęło jadowitym oddechem zawiści, zazdroszczącym każdej zielonej gałązce porostu, niszczącym wszystkie, wszystkie idealniejsze tendencje. Z gniewem i wstydem uciekałem zpośród tych stosunków, ażeby odechnąć zdrowszem, czystsze powietrzem obczyzny.

Ala teraz pragnę skrzydeł do powrotu. Z oddalenia zniknęły z twarzy ojczyzny wszystkie szpeczące ją rysy; stoi przedemną piękna i droga i wabi

mnie swoją mocą nieprzepartą ku macierzyńskiemu tonu, ku swemu ciepłemu, łaskawemu sercu, gdzie przeżyłem tyle błogich chwil i gdzie pragnę złożyć skołataną głowę.

Tak, powrócę do was, jak tylko poprawi mi się zdrowie. Lecz nie powrócę sam.

Doktór Wolny postanowił mi towarzyszyć. Powiedział mi, że spotkanie ze mną przyśpieszyło chwilę jego powrotu. Podczas mozolnych jego podróży wzmacniała go nadzieja, że jak tylko zbiera sobie jaki taki majątek, powróci używać owoców swojego trudu w jakim zakątku ojczyzny. Dziś rozporządza już nie tylko ładnym majątkiem, ale jest bogaczem, z czym mi się sam bez wszystkiego zwierzył, a gorące moje opowiadania działały nań tak silnie, że się namyślił ostatecznie nie odkładać swego powrotu do ojczyzny i powrócić razem ze mną, jak tylko wyzdrowieje.

Nie możemy się już doczekać tej chwili. Marzymy wspólnie o wiejskim dworku, który sobie doktor Wolny kupi gdzieś blisko Supowa. Różne szczegóły planu i urzędnienia tego, dotychczas tylko w wyobraźni naszej egzystującego dworku, potwierdzają mój domysł, że doktor postanowił używać owocu swoich podróży wspólnie z jakąś inną istotą, dla mnie tymczasem jeszcze nieznaną.

Będziemy go, naturalnie, odwiedzali. Niema w kraju nawet krewnych, ani znajomych; pierwszego przyjaciela rodaka znalazł we mnie. Ma nadzieję, że się zaprzyjaźni z całą naszą rodziną i że mu ona zastąpić będzie mogła rodzinę własną. Okazuje wielkie za-

interesowanie się wszystkim, co się tyczy naszych stosunków rodzinnych; obawiam się, że stwarza sobie jakiś niedościgniony ideał. Nie mówiłem mu o tych smutnych przejściach, o których zawiadomiłaś mnie w swoim ostatnim liście.

Oprócz doktora Wolnego będzie mi towarzyszył bezwątpienia jeszcze ktoś. Ta druga osoba pozostanie moją tajemnicą.

Obiecałem ci w którymś ze swoich listów, że ci opiszę swoją małą Greczynkę. Ale to rzecz nielatawa. Przedstaw mnie sobie bladego, chudego, nawpół trupa, i przedstaw sobie przy mojem łożu świeżą, wspaniałą dziewczynę, kwitnącą całym powabem wiosny, ale nie jak u nas nasze fiołki i bratki, ale jak pałający, ognisty kwiat granatu; przedstaw ją sobie w czarnej kamizelce, ozdobionej złotem arabeskami, z okrągłą złototkaną czapeczką, zsuniętą zalotnie na bok i lekko siedzącą na falach czarnych, błyszczących loków, przedstaw sobie pod tą egipską nocą łagodne, białe oblicze z odcieniem rumieńca na jagodach, z cienkim kształtnym noskiem i parą oczu, z których bije cała poezja Wschodu; przedstaw sobie, że to piękne zjawisko równa z macierzyńską troskliwością poduszki pod moją głową, że przysłuchuje się mojemu oddechowi, że obciera krople zimnego potu z mego czoła; przedstaw sobie nareszcie, że raz z wieczora, kiedy skleły się powieki mych oczu, kiedy leżałem z barwą śmierci na twarzy, napozór bez życia i świadomości, nagle zapłonęły nad mem czołem jej drobne, piękne wargi w gorącym pocałunku...

Sądę, że odgadłaś wszystko.

Módl się za moje szybkie wyzdrowienie, droga
Julciu!

Twój Włodzimierz.

Nie będę śledził wszystkich szczegółów zabawki, jaką sobie pan Jastrzab urządzał na koszt swej ofiary, zanim zatopił w niej ostatecznie swoje ostre szpony.

Gra ta miała niemałe podobieństwo z niewinną zabawką, jaką sobie robi kot, najedzony kosztem śmiertelnego strachu złapanej myszki. Ale brak jej było tej gracy miękkiej i gładkości, jaką tętnęła wiecznie poetyczna przyroda i tego obrazu najbardziej wyrafinowanego okrucieństwa. Wszystko działo się tu suchym, odmierzonym sposobem, a miękkie aksamitne ruchy wyciągającej się i cofającej łapki zastępowały szablonowe prośby o tymczasowe wstrzymanie egzekucyi, o odroczenie licytacji, o odnowienie ich i t. d.

Ale jeden epizod tej gry miał na sobie jednak odcień aksamitnej elegancyi, a ponieważ częściowo odegrał się w idyllicznej ramie wioski, nie waham się opisać go czytelnikom.

Było to w czasie, kiedy pan Jastrzab znów raz wyciągnął łapę w postaci żądania o powtórzenie dru-

giej i ostatniej sprzedaży ruchomości, do pana Hordliczki należących. Termin sprzedaży był bardzo bliski i tym razem zdawało się, że wierzyciel nasycił się zabawką i pragnie naprawdę skończyć wlokącą się sprawę.

Znajdujemy razem całą rodzinę w saloniku, który stracił rys nieprzystępności od tego czasu, gdy go zniesławiała brutalna ręka egzekutora, nakładająca ogromne czerwone pieczęcie, jak piętno hańby, na różnych stojących w nim sprzętach. Sama pani Hordliczkowa zrozumiała, że byłoby ironią zamykać przed własną rodziną zniesławioną świątynię, której najtajniejsze szczegóły były ściśle spisane i otaksowane pod pręgierzem protokołu sądowego.

Siedzieli więc tam wszyscy razem w rozpaczliwej apatii, a na całej tej grupie były zbyt widoczne ślady żartobliwej zabawki, o której wyżej wspomniałem. Nawet kapotka i majtki młodego Jarosława nosiły na sobie tu i owdzie ślady ostrych pazurów. Pan Hordliczka widział z głęboką boleścią, że żona jego nie ukrywa już tak starannie srebrnych nitok, wyskakujących tu i owdzie z czarnych jej włosów, pod fałdami starego czepeczka, że arystokratyczny odcień nikt nie coraz więcej z jej chudnącej postaci i że z każdym dniem mięknie jej przedtem tak nieznośny i despotyczny charakter. Z boleścią zauważył także, że twarz Ireny pogrążyła się w jakąś pochmurną zadumę, która bynajmniej nie dodawała jej piękna, lecz przeciwnie łagodne jej rysy czyniła ostrzejszemi, co ustępowało tylko na chwilę migoczącym promykom na-

dziei i szczęścia, rozpogodzającym jej czoło pochyłone, kiedy, siadając przy opieczętowanym fortepianie, wydobywała z jego poźółkłych klawiszów tajemnicze dźwięki „Odgłosów szczęśliwej przeszłości”.

W tej szczęśliwie wybranej chwili ukazał się nieoczekiwanie w drzwiach saloniku pan Jastrząb. Starał się okazać całem spojrzeniem, że tym razem nie przynosi nowego upokorzenia, ale zieloną gałązkę pokoju.

Gdy się pomimo to cała rodzina Hordliczków przed nim rozpierzchnęła, zostawiając samego ojca, siadł bez przymusu obok swej ofiary i zapoznał ją po krótkim wstępie z celem swoich odwiedzin.

— Wiesz pan zapewne, panie inspektorze—mówił—że ostateczna wyprzedaż pańskich sprzętów jest już bardzo bliska. Bezwątpienia wiesz pan także, że przy takiej sprzedaży sprzedaje się wszystko za bezcen, że zwykle tworzy się spółka, która skupuje drogocenne sprzęty nieraz napół darmo. W każdym razie poniesiesz pan w ten sposób znaczną szkodę, nie mówiąc już o sensacyi w sąsiedztwie i innych przykrościach.

Pan Hordliczka dał poznać ruchem gwałtownym, że następstwa licytacji okazują mu się jeszcze straszniejszemi, niż je opisać mogą słowa pana Jastrzębia.

— Ale moim celem nie jest szkodzić panu, albo pana zniszczyć—ciągnął wierzyciel. — Przeciwnie. Pomimo tylu zawodów, jakich doznałem ze strony pańskiej, zachowuję dla pana i dla rodziny pańskiej

przyjacielskie współczucie. Musisz pan co najmniej uznać, że okazałem niezwykłą cierpliwość z panem i że rzadko który wierzyciel włożył wyciągnięty miecz tyle razy napowrót do pochwy.

Mimowoli przychodziły dłużnikowi na myśl zapłacone przez niego rachunki doktora Zamotala, długie te litanie zaczynające się rozmową z mandantem, a kończące się różnemi wydatkami kancelaryjnemi.

— Krótko mówiąc, chcę panu zrobić propozycję, ażebyś pan nietylko na czas jakiś, ale na dobre mógł się pozbyć tych kłopotów, w których pan się znalazł może przez nieszczęśliwy wypadek, może skutkiem nieznamomości—wybacz pan moją szczerą—nieznamomości życia i prawdziwych stosunków. Ale do tego potrzeba byłoby przedewszystkiem, abyś pan odrzucił cały fałszywy wstyd i zwierzył mi się bez wszystkiego, jak bratu własnemu.

Przez jakiś popęd instynktowny odsunął pan inspektor przy ostatnich słowach samozwańczego swego protektora swoje krzeselko.

Lecz ten nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej:

— Oszczędzę panu nawet nieprzyjemnego wyznania. Zajrzałem dość dobrze za kulisy pańskich stosunków rodzinnych. Wiem, że jedynem źródłem pańskich dochodów jest skromna emerytura, która ledwie wystarcza dla tak licznej rodziny. Gdyby zostało wszystko, jak jest obecnie, musiałbyś pan zginąć koniecznie. Więc posłuchaj pan mojej propozycyi: jestem gotów nietylko zażegnać widmo licytacji, ale zawrzedć z pa-

nem zupełne przymierze do czasu, aż finansowe swoje stosunki wyrównasz pan zupełnie z moją pomocą. Przedstaw pan sobie, że te pieczęcie znikną z pańskiego mieszkania, że hałaśliwy krok sędzowego nie będzie przerywał jego spokoju i że przez cały rok nie panu nie przypomni egzystencyi czło-wieka, który się nazywa Jastrząb.

Pan Hordliczka spojrział jasnym okiem w próżnię, jakby tam widział raj utracony.

— Dajmy na to, żeby panu ten Jastrząb przed swoim zniknięciem udzielił na wielkie swoje ryzyko jeszcze małą pożyczkę, abyś pan w pierwszej chwili mógł zepchnąć najgorsze kłopoty.

Oczy dłużnika zaiskrzyły się.

— Ale nie myśl pan, aby tenże Jastrząb, przy całym dobrem swoim sercu, zapomniał o sobie. Z owemi pieczęciami nie straciłby on prawa do tych sprzętów; również połowa emerytury pańskiej płynęłaby wdalszym ciągu do jego kieszeni, a wszystkie prawa do ponowienia egzekucyi pozostałyby przy nim. Ale powoli starałby się umarzać należną mu sumę, uwzględniając przytem, o ile się da, niezbędne potrzeby egzystencyi pańskiej. To zaś umożliwiłby w ten sposób, że wynalazłby dla pana nowe źródło dochodów, które, razem z połową emerytury, wystarczyłyby napewno na odpowiednie utrzymanie pańskiej rodziny. Naturalnie, przypuszcza, że umiałbyś pan pozbyć się pewnych uprzedzeń.

— Mylisz się pan—rzekł Hordliczka—nie mam

żadnych uprzedzeń. Każdy uczciwy sposób zarobku będzie dla mnie dobry.

— Tem lepiej. Wyszukałem już miejsce dla pana; jest to miejsce, naturalnie, nie bardzo popłatne, ale ciche, a dla pana jakby umyślnie utworzone.

Na twarzy pana Hordliczki odbiło się uczucie błogiej nadziei.

— Jeden z moich znajomych ma loteryjną kolektę. Z powodu nawału pracy potrzebuje człowieka, któryby przyjmował i zapisywał stawki, wydawał kwitki i robił potrzebne wykazy. Przyznasz pan, że jest to praca bardzo łatwa i spokojna.

Z twarzy Hordliczki zniknął bez śladu promień błogiej nadziei.

Zawód jego był tak widoczny, że pan Jastrząb pośpieszył dodać:

— Byłoby to zajęcie tymczasowe tylko, dopóki bym nie znalazł miejsca korzystniejszego. Oprócz tego mam jeszcze w zapasie inną propozycję. Znasz pan poniekąd mój dom. Mam nadzieję, że nie uczynił na panu wrażenia nieprzyjemnego. Jestem wdowcem, co prawda, ale wzorowa piecza mojej gospodyni, dalekiej krewnej, zachowuje w mojem mieszkaniu ten porządek i czystość, jaką otaczała moja droga, w pamięci mej wiecznie żyjąca nieboszczka. Zosta-wiła mi ona dwoje dzieci, do których jestem przy-wiązany całym sercem. Wszystkie moje kłopoty są poświęcone ich szczęśliwszej przyszłości. Moja Różyna jest, co prawda, dobrą i uczciwą kobietą, ale

nie może im dla nawału pracy domowej, po części zaś dla swego prostego wychowania na wsi, dać tej towarzyskiej, łagodnej oglady, jakąbym chciał obdarzyć swoje małe skarby. Postanowiłem więc przyjąć dla nich guwernantkę.

Pan Jastrząb zamilkł; oczekiwał prawdopodobnie, że pan Hordliczka, domyśliwszy się, o co chodzi, ułatwi mu propozycję. Ale on bawił się kłopotliwie zaręczynowym pierścieniem, który dotąd szczęśliwie ocalał w kombinowanej licytacji.

— Wymagania moje są skromne. Życzyłbym sobie trochę francuskiego, muzyki, delikatniejszych robótek kobiecych... za kilka dni odjadę z dziećmi do swego małego folwarku, który kupiłem sobie w rozkośnej, wesołej okolicy, i spędzę z nimi część lata na zdrowem wiejskiem powietrzu, zdala od gwaru miejskiego. Guwernantka pojechałaby z nami. Zamieślałaby z dziećmi i Rozyną w osobnym skrzydle, gdzie mogłaby podzielić podług uznania czas swój na nauczanie dzieci i własną pracę i zabawę. Ofiarowałbym jej za to zupełne utrzymanie, a oprócz tego pensję miesięczną.

I znów umilkł mówiący, ale i tym razem roz-targniony słuchacz nie przestał się bawić swoim pierścieniem. Pan Jastrząb przysięgał sobie w duszy, że ściągnie tę błyszczącą zabawkę przy najbliższej okazji własnoręcznie z palca Hordliczki, choćby mu przyszło sprzedać ten jeden tylko pierścień.

— Pomyślałem sobie—mówił z tłumionym gniewem — że córka pańska, ta młodsza, byłaby wy-

borną wychowawczynią. O ile z powierzchwej obserwacji da się sądzić, jestem przekonany, że posiada dostateczny zapas wiadomości, a zarazem łagodny, delikatny charakter, sądzę więc, że dla moich pańskich byłaby znakomitą ogrodniczką. Jeden członek pańskiej rodziny miałby odpowiednie utrzymanie, a honorarium miesięczne posłużyłoby do regulowania procentów, a może nawet powolnego umarzania kapitału. Naturalnie, pozostawiałbym jej zawsze tyle, ileby potrzebowała na drobiazgi toaletowe. Na wsi korzystałaby ze świeżego powietrza, którego zapewne dawno nie używała. Naturalnie, jeżeli nie będzie na przeszkodzie mój prosty surdut i staroświecka prostota mojej rodziny, do której przepychowi i zbytkowi przystęp jest zakazany.

Ostatnie słowa nie były wolne od sarkastycznego odcienia.

Pan Hordliczka spojrział z boku niedowierzająco na swego sąsiada. Nie zauważywszy w twarzy jego nic szczególnego, mówił z wahaniem:

— Z wdzięcznością uznaję łaskawość propozycji pańskiej, ale pozwól pan zapewne, abym naprzód pomówił o tem z matką i córką.

— Rozumie się samo przez się—odpowiedział pan Jastrząb podrażniony. — Jutro przyjdę po odpowiedź. Jutro można jeszcze licytację zatrzymać. Wymieniłem panu warunki, na jakich niemiły nasz stosunek może być wyrównany, a sposób jest dla obu dogodny. Rób więc pan, jak się panu zdaje.

Po odejściu pana Jastrzębia namyślał się chwilę pan Hordliczka, czy ma się podzielić propozycją z rodziną, czy odrzucić ją z własnego postanowienia. Zdecydował się na pierwsze.

Pani Hordliczkowa zapłonęła znów tym razem arystokratycznym ogniem. Wymawiała mężowi dlaczego nie wypchnął zuchwałego potwora przy pierwszych słowach za drzwi, i zdecydowała, że takiej rzeczy niewarto właściwie nawet rozważać. Wstąpić na służbę do tego grubijanina i zdziercy, poddać plotkom honor całej rodziny!

Ale Julia miała odmienne poglądy. Mówiła, że już sama o tem myślała, ażeby przyjąć miejsce guwernantki dla ulżenia rodzinie, że miejsce takie nie jest bynajmniej niehonorowe i że je może w każdej chwili rzucić, gdy przekona się, że przechodzi jej siły.

Przez noc ostudził się znacznie zapał pani Hordliczkowej i nazajutrz wyjeżdżała już Julia przez miejską bramę powozem pana Jastrzębia.

Powóz ten, jak niemal wszystko, co się łączyło z osobą pana Jastrzębia, miał dość zajmującą historję. Kupił go nasz szlachetny przyjaciel na licytacji ruchomości pewnego lekkomyślnego młodzieńca, który ulokował, przy łaskawej pomocy pana Jastrzębia, spadający na niego majątek, w dyamentach na pewnych czarnych włosach i pięknych oczach, czarujących swym blaskiem, i który w końcu, wracając z pustym pugilaresem i bez kochanej z wód, na osta-

tniej stacyi w tym powozie ołowianą kulką swe życie romantyczne zakończył.

Ale obecnie tworzył ów powóz ramę pięknego obrazu.

Siedział w nim pan Jastrząb, trzymając na kolanach płowłosą córeczkę, a obok niego trzymała panna Hordliczkówna drugie Jastrząbiątko, które do niej przyłgnęło od pierwszego spojrzenia sercem całym. Piękna ta grupa spoglądała w nieobjętą dal pięknej okolicy, rozkładającej się koło nich w blasku letniego słońca, który igrał wszędzie, jak wyraz spokoju na twarzy dojrzałej pięknej kobiety.

Widok taki budzi w naszym sercu czystą, niezamąconą wesołość. Przy uśmiechu dziewczęcia i wiosennych kwiatów, budzą się w sercu naszym jakieś nieukożone pragnienia, uśmiech kobiety wędnącej i jesiennego krajobrazu, otulonego tchnieniem melancholii, wspomnieniem zwiędłego piękna.

Złociste morze kłosów falowało i szumiło tu i owdzie, upstrzone wokoło modremi kwiatami bławatków i polnego maku, tych charakterystycznych kwiatów lata, pogardzających rosą i cieniem, patrzących na świat płomiennem, radosnem okiem.

Nawet Różyna, siedząca na kozle obok stangreta, obracała oczy na prawo i na lewo, a blask słoneczny dodawał jej bladej twarzy i martwemu oku żywszego i radośniejszego wyrazu.

Dolina, w której z pośród gęstych drzew owocowych wyglądał szczyt szwajcarski wychwalanego

dworka pana Jastrzębia, w sąsiedztwie staroświeckiego młyna i kilku skromnych wiejskich chat, była rzeczywiście piękną. Dno jej wypełnione było gęstymi sadami, po bokach czerniał bór jodeł, przetkany białymi brzożami, a w przerwie, kędy przepływał wesoły strumień w świat szeroki, widać było część jakiegoś blizkiego pasma gór.

* * *

Życie naszego towarzystwa w cichym, zielonym wąwozie było skończoną sielanką. Pan Jastrząb zmienił się zupełnie w bohatera à la Gessner. Siadywał w szerokim, słomianym kapeluszu nad brzegiem rzeczki i spoglądał w niezamąconym spokoju na spławik, pływający pod smukłym wędziskiem na powierzchni wody.

Kiedy powracał z drobnym, srebrzystą łuską połyskującym i gustownie na sznurku nawleczonym łupem, byłby go każdy wziął za niewinnego profesora filologii, bawiącego na wsi przez wakacje.

Kilka dni bawił się tym sportem, potem wynalazł sobie inne zabawy. Kazał wbić jakieś paliki w dno strumienia, płynącego do sąsiedniego młyna w stronie dworku drugiego sąsiada; rezultat był nad oczekiwanie dobry: młynarz powrywał z czeladnikami paliki ze strumienia po burzliwym zajęciu z panem Jastrzębiem, a drugi sąsiad przymusił niebezpiecznymi pogroźkami murarza do ucieczki.

Potem podano w mieście skargi nawzajem i niezadługo zjechała na miejsce komisya, przyczem pan Jastrząb z nietajoną rozkoszą przysłuchiwał się wybuchom gniewu ze strony sąsiadów i ostrej aż do osobistej kłótni adwokatów, którzy później w jednym powozie skracali sobie drogę wspomnieniami z czasów studenckich.

Takie były zabawy pana Jastrzębia po za domem. W domu stawał się jeszcze miłszym. Z żywym zainteresowaniem śledził postępy, jakie czyniły dziatki jego pod kierunkiem młodziutkiej wychowawczyni, a wieczorem niechętnie żegnał się ze swemi aniołkami, które mu często zasypiały na kolanach.

Julia, do której obowiązków należało układać dzieci do snu, musiała w ten sposób przesiadywać długie chwile samotna z czułym ojcem. Rozyna nie jadała nigdy razem z rodziną; była przeznaczona do kuchni i zwykle długo w noc przez zakratowane okno i nieruchomem okiem śledziła srebrną kulę, która rozlewała blade, melancholiczne światło swoje po leśnej dolinie.

Guwernantka nie miała jednak sposobności korzystania z powabów tych późnych wieczorów, kiedy pan Jastrząb, bawiąc się z kędziorkami synka, drzemiącego na jego kolanach, zaczął nabierać różowego humoru w miarę tego, jak ze smukłej wysokiej butelki powoli ubywało czerwonego płynu.

Napróżno przykonywał pan Jastrząb dziewczę, aby przezwyciężyła swoją niechęć do wina, napróżno starał się wywołać uśmiech prawdziwej wesołości na

jej usta: pozostawała chłodną, oziębłą i chętnie korzystała z najbliższej okazji, aby mu życzyć dobrej nocy i móżdż się oddalić z dziećmi z jadalni.

Zato było jej bardzo błogo, kiedy z powierzonymi sobie dziećmi mogła oddalić się po za granice majątku pana Jastrzębia, gdzieś w pola lub do lasu, szczególnie zaś, kiedy mogła się wybrać na wierzchołek góry, porośły lasem, dokąd mocno ją wabił stary, opustoszały kościółek, z którego omszonego progu otwierał się widok na daleką okolicę. Tam siadywała całymi godzinami, oddając się dowoli tysiącnym wrażeniom i wspomnieniom, oddychając błogo uczuciem wolności i czując się wyższą ponad prozę powszedniego życia. Nad nią szczebiotało ptactwo w szarej wieżycze, pod sobą słyszała głosy kukulek w rozległych lasach, a czasem zabrzęczał około niej w przelocie błyszczący owad.

Powierzone jej dzieci lubiły to ustronie. Zdawało im się, że wychowawczyni ich bywa tu daleko weselszą i szczęśliwszą, niż tam na dole, pod ową szwajcarską strzechą. Tu miały jej bajki żywszą i oryginalniejszą barwę i zdawało im się, że cała okolica bierze w nich czynny udział, wierzchołki szumią tajemniczą pieśń, okrągłe kolorowe okno kościółka błyszczy w słońcu, jak szkarłat, a szary, długonogi konik wygląda uważnie z suchej trawy czerwonym okiem.

Koniec naszej idylli jest taki: różowy humor pana Jastrzębia zaczął powoli ustępować miejsca niezadowoleniu, które rosło razem z chłodem, z jakim

Julia odpierała wszystkie jego próby, aby ją rozognić swoim winem i swoją wymową do weselszego usposobienia.

Razu pewnego pan Jastrząb, kiedy Julia znów względem niego zbyt zachowała się chłodno, znalazł się po jej odejściu wielce podrażnionym. Chodził szybkimi krokami tam i napowrót po pokoju, wypił, oprócz zwyczajnej, jeszcze jedną butelkę, a wypiwszy ją z chorobliwym pośpiechem, wyszedł na podwórko.

Na dworze księżyc ronił srebrne blaski. Na wszystkim drżało jego przezroczyście, jasne światło, jak leciuchne technienie, otulające wokoło wszystko. Niedawno widział pan Jastrząb dworek ten w całym świetle dziennym; teraz przedstawiał mu się niemniej wyraźnie, ale w tem niezwykłym oświetleniu, jakby zupełnie nowym i zadziwiająco pięknym.

Pana Jastrzębia zajęły różne szczegóły, których byłby w dzień z pewnością nie zauważył. Widział pięknie ząbkowany cień szczytu drewnianej strzechy na białej ziemi; dziwił się romantycznemu wyglądowi drewnianego balkonu przed tylnem skrzydłem, którego gruba rzeźbiarska robota wyglądała daleko czyściej, wypuklej i masywniej, niż w dzień; zdawało mu się, że żaden poeta nie mógłby wymyśleć lepszego tła nad oknem swojej kochanki, niż ten prosty balkon, tonący w gęstej zieleni wina.

Pan Jastrząb udał się w ową część ogrodu, z kąd było widać oświetlone okienko między słupkami balkonu. Okno to należało do osamotnionej sy-

pialni młodej guwernantki. Przechadzał się napół zarostami drózkami ogrodu, zrywał, jak marzący młodzik, białe róże, przyciskał je do gorących ust, gryzł ich miękkie, niewinne płatki. Przytem nie odwracał oczu od oświetlonego okna. Znajdował się w silnem podrażnieniu. Skronie były mu burzliwie, oko zasłaniała lekka czerwona mgła, w uszach huczało mu, jak szum oddalonego morza. Miotał się, jak bezsilna istota, w pętach owego silnego popędu, który strąca człowieka w najgłębsze głębiny brudu i unosi w najczystsze sfery poezji. I wszystko rozdmuchiwało jego ogień: ciepły, łagodny wietrzyk, słodki oddech śpiących kwiatów, czarodziejski blask miesiąca...

W oknie na balkonie mignęła biała, wspaniała postać i zaraz potem zasunęły się białe, leciutkie firanki.

Ale przytłumiony blask świadczył, że młoda wychowawczyni powiedziała dobranoc tylko zalotnemu księżycowi, który zaglądał bardzo niedyskretnie do jej panińskiego pokoiku.

Gdy blask ten nie gasnął, zwrócił się nareszcie pan Jastrząb w stronę balkonu.

Spruchniały stopień skrzypnął pod jego nogą. Na odgłos ten pan Jastrząb stanął, zląkł się i wstrzymał oddech. Stał chwilę w pozycji, jak śmiałek skamieniały przy pierwszym kroku do zakłętego zamku. Ale kiedy się nic podejrzanego obok niego nie odezwało, ruszył ostrożnie dalej.

Stanął przed oknami. Mimowoli pochyliło się jego kolano ku ziemi, ręka zaś pochwyciła koniec niezamkniętej zewnętrznej okienicy; z trudem wstrzymał ciężki, gorący oddech.

Przez firanki patrzył właśnie na łóżko młodej wychowawczyni. Widział posłane poduszki, białe jak śnieg, a obok nich siedzącą postać dziewczyny w bielutkim negliżu. Był to obraz największej czystości i prostoty. Ale pana Jastrzębia rozpląmniała ta chłodna, spokojna białość. Śledził w tej bieli zwodnicze kontury młodej, kwitnącej postaci aż na dół, do tych wątych, arystokratycznych nożek, uwieczonych w białych pantofelkach z białymi różyczkami. Spoglądał na te różyczki, jakby je chciał pogryźć swemi zębami w szalonej namiętności, niby owe niewinne białe róże w ogrodzie. A potem, upojony zupełnie grą cieniów, która zawróciła już chłodniejszym głowy gustownym rysunkiem ząbkowatego obrąbka na białej pończosze, powrócił do ramienia, które wyglądało ze śnieżnej tkaniny, przewleczonej różową tasiemką nocnego kaftanika, do rozplecionego napoły jasnego warkocza, do główki pochylonej na poduszkę, do białej twarzy i marzących oczu, biegających po wierszach jakiegoś listu, który trzymała w ręku.

Wtem odłożyła list i skrzyżowała ręce pod głową. Leżąc spokojnie zapewne dumiała o czemś.

Pan Jastrząb wyjął klucz z kieszeni, otworzył oszklone i osłonięte drzwi sypialni i wszedłszy po-
oichutku, zamknął je za sobą.

Wylękte dziewczę wyskoczyło z łóżka. Lekki okrzyk wybiegł z jej ust.

Pan Jastrząb zbliżał się ku niej z wyciągniętą ręką, bełkocząc niezrozumiałe słowa.

— Co pan tu chce? — zawołała wystraszonym głosem dziewczyna, cofnąwszy się za fotel, jak za barykadę ochronną.

— Przyszedłem życzyć pani dobrej nocy. — rzekł pan Jastrząb, który odzyskał znów głos i zuchwałość — i poprosić panią o całusa.

— Precz ztąd, paniel! Precz, precz! Bo będę wołać o pomoc! — zawołało dziewczę z płonącymi licami i napół gniewnym i napół wylękłym wzrokiem.

— Jaka pani dziecinnal — szeptał pan Jastrząb uspokajająco. — Przecież nic złego pani nie uczynię. Tylko piękność i chłód pani doprowadziły mnie do tego kroku. Nie umiem, jak młodzik, stać przy księżycu z gitarą w ręku pod oknem pani. Moja krew jest gorętsza, niech pani się uspokoi, pragnę tylko szczęścia pani.

Ale dziewczę krzyknęło o pomoc.

Pan Jastrząb chciał ją pochwycić oburącz, więc zrzucił świecznik na podłogę. W pokoju zapanowała ciemność.

Nastąpiła walka po ciemku.

Napastnik, grożąc i obiecując, starał się ją pochwycić, ale brodził tylko w ciemnym, pustym powie-

trzu. Nareszcie zaryły się jego palce kurczowo w jej ramieniu, lecz wtem wpadło światło do pokoju, ktoś za-trząś z zewnątrz drzwiami, potem u stóp pana Jastrzębia znalazło się potłuczone szkło szyby w drzwiach, a w otworze tym ukazała się biała, jak śmierć, twarz Rozyny. Oczy jej miotaly pioruny, rysy drgały z zdrością, gniewem, pogardą...

— Ha, stary Jastrzębiu, nie masz dosyć jednej gołębiczy? Dyable! szatanie! — wymówiła syczącym głosem.

Julia, której ramię puścił pan Jastrząb, zląkwszy się, odskoczyła po klucz do stołu przy łóżku i nim się nieprzyjaciel jej zorientował, przemknęła tuż obok szalonej Rozyny na balkon. Noc spędziła w pokoju dziecinnym.

Kiedy się wieża kościołka na wierchołku góry zarumieniła pierwszemi promieniami poranku, opuszczała już ze skromnem zawiniątkiem wioskową sielankę.

Pan Jastrząb przez noc wytrzeźwiał zupełnie. Nawymyślał sobie od starych błaznów i odjechał pod wieczór napowrót do miasta, aby raz już ukończyć tę niemłą sprawę z Hordliczką.

Panu Hordliczce wydarzyła się bardzo szczęśliwa okazyja do uiszczenia ostatniej sumy, którą mu pożyczyl jego łaskawy wierzyciel.

Spotkał pośrednika do wyszukiwania posad, który zatrzymał go z wyrzutem, dlaczego się tak długo nie pokazywał w kawiarni i wyraził nadzieję, że chyba nie jest tego przyczyną nieszczęśliwa przegrana.

— Żałowałem pana szczerze; stałeś się pan, jak już wielu z naszego kółka, ofiarą karcianej namiętności sekretarza. Od tego czasu poznałem i inne niepiękne jego strony; zapewniam pana, że gdybym był na miejscu hrabiego, oddałbym go w tej chwili z urzędu. Zajrzałem trochę uważniej w jego karty; powiadam panu, że jest skończonym szulerem. Proponuje swojemu panu urzędników nie podług zdolności, ale podług wysokości wynagrodzenia, którem sobie aspiranci muszą okupić jego łaskę. W ten sposób sprzedał już wiele miejsc, z wyjątkiem, zdaje mi się, dwóch posad rządców. Za kilka dni przyjedzie pan hrabia, zatwierdzi kontrakty, a sekretarz po podpisaniu tychże schowa do kieszeni umówione wynagrodzenia.

Choć oba wakujące miejsca były dla pana Hordliczki silną przynętą, nie dotknął ich nawet słowem. Sprzeciwiało się jego poczciwej naturze pomaganie sekretarzowi do osiągnięcia nieprawego zysku.

Ale w drodze do domu żałował już swego mil-

czenia. Kiedy zaś niezadługo potem Julia powróciła i ze łzami w oczach opowiedziała tragiczny koniec swojej idylli, zdecydował się pan Hordliczka na kupno owego miejsca rządcey. Wiedział, że pan Jastrząb znów ponowi wszystkie swoje żądania.

Na szczęście, miał sekretarz jeszcze jedno miejsce rządcey w zapasie i obiecał, że przedstawi na nie pana Hordliczkę, gdy tenże przyszlą swoją wdzięczność oznaczył pewną sumą pieniędzy.

Za kilka dni potem wprowadził sekretarz swego protegowanego do hotelu, gdzie się pan hrabia ulokował. Pan Hordliczka ujrzał nareszcie oko w oko osobę, którą sobie w myślach tyle razy malował i którą byłyby bez mała umieścił w liczbie niespełnionych marzeń. Ale oprócz blizny na czole, nie znalazł w twarzy pana hrabiego żadnego podobieństwa z obrazem, jaki sobie w duchu utworzył. Tylko głęboka uniożność, jaką wyrażała krótko ostrzyżona głowa sekretarza wobec tego zwykłego napozór człowieka, zdradzała jego wysokie stanowisko w społeczeństwie. Niepozorny ten pan powiedział w krótkich słowach Hordliczce, że go przyjmuje do służby, i że udzieli mu na tem miejscu za dziesięć dni szerszych wyjaśnień.

Kiedy wyszli od hrabiego, wcisnął szczęśliwy pan Hordliczka w rękę sekretarza obiecaną wdzięczność i leciał na skrzydłach dawno niezaznanej radości do domu. Niech sobie teraz pan Jastrząb tra-

duje! Z chęcią byłby jeszcze dziś wszystko zostawił w jego szponach i z wesołym sercem opuścił miasto i ojczyznę, gdzie się musiał zniżyć aż do poziomu pisarza loteryjnego.

Tym razem radość pana Hordliczki była zaraźliwą.

Wszakże to już nie było proste jabłko cieszyńskie, których ojciec swojej rodzinie tyle naobiecował; tym razem otrzymał już nareszcie pewne miejsce, ze stałą płacą i z wyznaczonym terminem objęcia obowiązków. Nie trzeba dodawać, że ta zmiana stosunków znacznie osłabiła wrażenie ostatniego ciosu, do którego się pan Jastrząb, rozgniewany do najwyższego stopnia, gotował. Odnowił poraz ostatni drugą egzekucyjną sprzedaż sprzętów należących do małżonków Hordliczków, a dnie, dzielące ich od tej sprzedaży, można było policzyć na palcach. Kiedyindziej byliby widzieli za tym gorzkim kielichem tylko głęboką, bezdenną przepaść, teraz widzieli tam nowe życie — życie na wygnaniu, lecz cóż było lepszego od wygnania dla tej garstki ludzi, dla której kwitły w ojczyźnie cierpkie tylko wspomnienia?

W oznaczonym dniu — był to zarazem dzień, w którym odbyć się miała licytacja — pośpieszał pan Hordliczka do hotelu, aby otrzymać instrukcje hrabiowskie.

Kiedy zapytał o hrabiego w bramie hotelu, za-

trząsł wygalowany portyer hotelu tak silnie głową, że złote frendzelki na jego kapeluszu jeszcze długo po tem uspokoić się nie mogły i wybuchnął głośnym, pogardliwym śmiechem.

— Ha, ha, pan hrabia! Ten raczył się ulokować gdzieidziej. Obecnie przebywa w mocnym i przestronnym pałacu, który ma cokolwiek przyciasne pokoiki i nad potrzebę krutek w oknach.

— Co pan mówi? — zawołał pan Hordliczka przestraszony.

— Co mówię? że mają w klatce całe to piękne towarzystwo — pana hrabiego, jego sekretarza, owego pośrednika i wszystkich tych, tak ładnie się tytułujących ptaszeków; że powstrzymali ich łotrowskie rzemiosło i że ich opatrzone żelazami drzwiami i zamkami, aby nie mogli nadal wyciągać uczciwym ludziom pieniędzy z kieszeni. Zdaje mi się według wszystkiego, że zostało im także trochę i pańskiego pierza w szponach..

Pan Hordliczka nie mógł, nie chciał jeszcze uwierzyć. Dopiero kiedy mu portyer do ostatniego rysu wszystkich opisał, kiedy mu pokazał w gazecie wiadomość o ich podstępnych kradzieżach i aresztowaniu, kiedy i reszta służby hotelowej potwierdziła słowa portyera, powiedział sam sobie, że stał się ofiarą prostych łotrów.

Zmiażdżony wyszedł z hotelu.

Tak więc zginęły na zawsze te sanie z Mazu-

rem, te zaśniewone lasy! Zostanie w szponach Jastrzębia, zginie w nich. Będzie się kłopotał o chleb z dnia na dzień, będzie patrzył na nędzę swej rodziny, słuchał jej wyrzutów. Będzie padał głębiej, coraz głębiej. Ot, i miejsce w kolekturze utraci; gdzie jutro zapracuje na kawałek chleba?!

Resztę pieniędzy wyłudzi mu z kieszeni ci oszuści; dziś rano wyzebrał sobie resztę zarobku córki na przygotowania do drogi. Kiedy mu się suma ta rozejdzie, czem zaspokoi głód swoich ukochanych?... Co się z nimi stanie? Wokoło nędza, hańba, zguba...

Wtem dotknął ktoś jego ramienia. Ujrzał przed sobą znanego człowieka z dużemi, mosiężnemi guzikami, który rzekł:

— Chodź pan z nami. Tu byłoby to publiczne zgorszenie.

— Czego pan żadasz? — zapytał pan Hordliczka sługę sądowego, który go ciągnął za sobą do bramy domu.

— Drobnostka. Pan Jastrząb uzyskał na pana tak zwaną licytację kieszeniową. Pozwoli pan z łaski swojej, że się przekonamy, czy nie posiada pan przy sobie jakich cennych przedmiotów.

Pan Hordliczka nie stawiał żadnego oporu. Pan Jastrząb zaś ściągnął mu przedewszystkiem z palca ów pierścień, któremu przysiągł uroczyście zemstę.

Potem wyjęli z jego kieszeni różne drobnostki i pugilares z ostatnimi od Julii wziętemi pieniędzmi.

Pan Hordliczka prosił, by mu pan Jastrząb zostawił z nich małą cząstkę. Gdy się wstawił za nim sługa sądowy, lichwiarz zezwolił na to.

Kiedy go puszczone, zataczał się po ulicy obrany dłużnik, jak pijany. W głowie mu dziwnie szumiało, a czasem przebrzmiewała w tym szumie melodya wigilijna owej szkatułki samogrającej. Przystanął obok sklepu puszkarza. Wszedł, a po chwili wrócił na ulicę, ukrywając coś pod surdudem. Zawołał doróżkarza i kazał się zawieźć do najbliższego hotelu. Tam wziął sobie numer i kazał podać butelkę czerwonego wina, Gdy mu ją przyniesiono, zakreślił klucz w zamku.

Licytacja u Hordliczków była skończona.

Rodzinny salonik dożył dnia najgłębszego swego upokorzenia. Napelnił się wrzawą, żądnią zysku, w której się odróżniał tylko śmieszny, śpiewny, dyszkantowy głos, wychodzący z otwartych ust rudej, dziwacznej, nieruchomej twarzy, którą się pysznił sądowy wywoływacz. Monotonny, wrzaskliwy ten głos podobny był do dźwięku, wychodzącego z otworu bez-

dusznego, metalowego instrumentu. Pojedyncze jego wywoływania wzbudzały tu śmiech, tam pogardliwy spokój, owdzie szmer przytłumiony tych, co mieli chęć kupna.

Wśród tłumu kupujących, w którym przeważał wschodni typ, odróżniał się wybitnie młody człowiek w prostym odzieniu, z sakwojażem u boku. Twarz jego była poważna i szlachetna, ale niedość prawdziwa, a rzadki bezbarwny zarost nie przyczyniał się bardzo do jej upiększenia. Człowiek ten budził współczucie otaczających uporem, z jakim nabywał niektóre przedmioty, mianowicie zaś różne figurki, stare ozdoby i części damskiej toalety wątpliwej wartości.

Tylko w jednych oczach znalazło to zagadkowe skupywanie obcego wdzięczne uznanie. Były to łzami napełnione oczy Jarosława, który żegnał boleśnym westchnieniem każdy przedmiot, z którym się zrosło jego serce, gdy ten przechodził z uderzeniem nieczułego młotka w obce ręce. Zato odetchnął za każdym razem lżej, gdy przypadł który z tych przedmiotów owemu obcemu; wszakże nie był on dla niego obcym, lecz starym, dobrym znajomym z kochanego Supowa.

Po ukończeniu licytacji przystąpił Jarosław do człowieka z sakwojażem i zawołał, wyciągając doń z zaufaniem rękę:

— Ach, panie nauczycielu, w jaki sposób pan się tu znalazłeś?

— Ach, jaka szkoda, że nie przybyłem prędzej— odpowiedział zapytany — lecz nie przypuszczałem nawet, co się tu dzieć będzie.

— A co pan zrobi z temi rzeczami?

— Cobym z niemi miał zrobić? Zostawię je tutaj. Dla tej tylko przyczyny wyrwałem je z rąk Izraela. Nie mogłem znieść tego, że mogłaby obca, niegodna ręka znieważać te przedmioty, które mi przypominają szczęśliwsze chwile.

— Ach, jaki pan dobry, panie nauczycielu! — szepnął Jarosław i wsunął się do przyległego pokoju, gdzie była zgromadzona przez czas licytacji reszta rodziny.

Nauczyciel supowski stał zmieszany pośród salonu, obecnie już pustego, nad różnobarwną kupą przedmiotów, które skupił.

Za chwilę wyszła z przyległego pokoju Irena z twarzą jak marmur bladą, w czarnym, żalobnym ubraniu. Była zwodniczo piękną w tym kostymie. Oblicze pana nauczyciela zacerwieniło się najpiękniejszym rumieńcem.

Panna Irena pochyliła się niedbale, oparła na stojącym chłopcu swoje chłodne i spokojne spojrzenie i mówiła surowym, gryzącym tonem:

— Dziękuję panu, panie nauczycielu, żeś pan przybył zdaleka przyjrzeć się naszemu upokorzeniu. Jarosław mi mówił, że chcesz pan te rzeczy zostawić

tutaj. Podziwiamy pańską wspaniałomyślność, ale propozycji pańskiej przyjąć nie możemy. Dotąd niewolno nikomu ofiarować nam jałmużny. Weź pan te rzeczy z sobą, kupiłeś pan je dość drogo; my ich nie potrzebujemy.

Ukłonila się chłodno i zniknęła za drzwiami przyległego pokoju. Byłaby napewno miała dla niego choć trochę współczucia, gdyby była zauważyła przed odejściem wyraz jego twarzy. I może byłaby się doń zupełnie inaczej odezwała, gdyby była przeczuła, że stoi przed nią ideał jej snów błogich, nieznanym ofiarodawcą pysznego bukietu, kompozytor polki-mazurki, której wesołe dźwięki rozganiały tyle razy ciężkie chmury z jej czoła, że ów „nauczycielek”, którego sobie raz na rok ze śmiechem wspominała, nosił obraz jej w swem sercu jak klejnot, jak relikwię, że jedyny na całym szerokim świecie do niej wzdychał z głębi serca i dzień w dzień odwiedzał zrujnowany już, chiński pawilon, w którym kiedyś ułożył z ogromnym trudem wierszowane wyznanie swej dla niej miłości...

Niezdługo potem salon opróżnił się zupełnie.

Po chwili odezwał się w sieni odgłos kroków. Potem silna ręka pociągnęła rękę do dzwonka. Ale nawet dzwonek nie wyszedł cało z ogólnego pogromu. Oniemiał. Gość pukał chwilę, potem otworzył z wolna drzwi i zajrzał do wewnątrz. Opalona, wyrazista twarz męska w otoczeniu kruczonych włosów i zarostu.

Nareszcie ukazał się cały w drzwiach, wysoki, przystojny mężczyzna, ale zadziwiony, stanął, rozglądając się po próżnym pokoju.

Zapukał do drzwi przyległego pokoju. Tam znalazł nareszcie, czego szukał.

W próżnej przestrzeni stało, jak ostatnia oaza wśród powodzi, starożytne łóżko z malowanym parawanem, na niem zaś odpoczywała na białej poduszce z białymi około ząbkami pożąłkła, zmarszczona twarz w otoczeniu potarganych, siwych włosów, wśród których grały perełki dyademu, jak iskry lodu. Była to twarz, nie już umierającej, ale zmarłej królowej.

A nad zmarłą stała grupa zażawionych osób: smukły chłopczyk, pani z pochyloną od smutku głową i dwoje wspaniałych dziewcząt, między którymi ujrzał przychodzień od pierwszego spojrzenia tę, którą tak szczerze poznać pragnął.

Tak znalazł doktor Wolny rodzinę, o której biedny przyjaciel w Konstantynopolu tyle mu opowiadał.

Smutna rodzina spojrzała nań z zadziwieniem. Oczekiwano ojca, który się przez cały dzień w domu nie pokazał.

Doktor Wolny stał przed nimi, milcząc. Czy miał po jednej stracie, oznajmiać drugą? Czy miał im powiedzieć, że Włodzimierz leży tam daleko w gorącym piasku, pod ciemnym, zczochranym cyprysem? Czy miał im powiedzieć, że przyjął z ust umierającego polece-

nie, aby ratował tę ubogą rodzinę, i że położy całe swoje mienie, wszystkie swoje siły, by jej powrócić było szczęście? Czy mógł wyznać tej kochanej dziewczynie, że chce poprosić o jej słodką, kochaną rączkę? Czy miał powiedzieć wszystkim, że już kupił w pięknej górzystej okolicy majątek, gdzie mieszkać będzie ze swoją Julią, niedaleko kochanego Supowa, którego znajome wieże będą się czerwienić w promieniach wieczornego i porannego słońca?...

Nazajutrz zawitał pan Jastrząb do kancelaryi doktora Zamotała widocznie podrażniony. Częstuując dependentów tabaczką, mówił słabym głosem:

— Czy wiecie nowinkę, panowie? Stary Hordliczka zastrzelił się wczoraj wieczorem. Przy kieszonkowej licytacji zostawiłem mu trochę pieniędzy, za tę resztę kupił sobie rewolwer, wynajął pokój pod „Złotem Runem” i wystrzelił sobie w serce. Przed tem wypił jeszcze szklanę czerwonego wina. Moje dzieci są znów oszukane o kawał spadku. Emerytura przepadła, sprzedaż sprzętów dała drobnostkę!

Ale kiedy podzielił się zajmującą nowiną z doktorem Zamotałem, ten rzekł z uśmiechem:

— Czytałem już w gazetach *Requiescat in pace*. Zresztą nie został panu nic winien. Wczoraj przy-

szedł do mnie jakiś doktor Wolny, bezwątpienia ubiegający się o jedną z jego córek, i zapłacił mi co do grosza cały dług Hordliczki razem z procentem i kosztami. Tu masz pan całą sumę po odtrąceniu mego honorarium. Proszę, podpisz pan ten kwitek.

Twarz pana Jastrzębia rozjaśniła się; zgarnął ostrożnie pieniądze i podpisał pokwitowanie.

Tak skończył się fascykuł Jastrząb contra Hordliczka.

K O N I E C.



DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Rok 1897.

Tom.

1. Juliusz Słowacki. Powieści poetyckie, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *2, 3 i 4. Bolesławita. Tufacze, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. Psychologia rozwoju narodów, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *6. Eliza Orzeszkowa. Trzy nowelle, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *7. Iwan Turgeniew. Z zapisek myśliwego, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- **8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. Dzieje Księstwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. Cudna Mieszczka, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. Psalterz Dawidów, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. Zakopane skarby, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Rok 1898.

- 14 i 15. Bolesławita. Czarna Perła, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *16. Julian Mohort i Klemens Junosza. Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *17. Teodor Jeske-Choiński. Stłumione Iskry, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. Poemata, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *19. Władysław Smoleński. Szkoty historyczne w Polsce (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. Szkice i obrazki, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. *Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi* (1815—1825), z przedmową *Bronisława Ochorowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk Władysław Łokietek, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
- *24. Roman Pleniewicz. *Kształcenie młodzieży* (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *25. Zygmunt Krasiński. *Irydyon*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. *Pojata, córka Lezdejki*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *30. Julian Ochorowicz. *Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu*, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
- *31. Klemens Junosza. *Na zgliszczach*, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- *32 i 33. Anna Potocka. *Pamiętniki, tłumaczyła J. A.*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. *Wyprawa André'go balonem do bieguna*, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- *35 i 36. Berta baronowa Suttner. *Precz z orężem!* historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. *Pamiętniki Seglasy*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. *Podróż do bieguna północnego*, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. *Rok dziewięćdziesiąty trzeci*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. *Dziennik Franciszki Krasińskiej*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. *Nowe dziedziny widma*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. *Książę Srebrny*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *47. Juliusz Słowacki. *Beniowski*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. *Szandor Kowacz*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *50. Adam Krechowicki. *Stella*. — *Tartówna*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Krahmer. *Syberja i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej*, w tłumacz. i z przedmową *Włodz. Trąpczyńskiego*.
- ***52, 53, 54, 58. *Dzieje Narodu Polskiego*, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.

Tom.

55. Adolf Dygasinski. *Wilki, psy i ludzie*. — *W puszczy*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. *Przygody Huck'a*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *59. *Pamiętniki Franciszka Karpińskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *60, 61. J. I. Kraszewski. *Barani Kozuszek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. *Straszny Dziadunio*, z przedmową *Adama Ptuga*.
- 63, 64, 65. L. Gallet. *Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac*, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.
- Rok 1899.
- 66, 67. Oskar Mysing. *Berezyna*, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąpczyńskiego*.
- *68. Konstanty Rengarten. *Pieszko do Chin*, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *69. C. F. Gordon Cumming. *Zycie w Chinach*, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *70. Michał Bałucki. *Przekłate pieniądze*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. *Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *73, 74. Kajetan Kraszewski. *Barochowski*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. *Don Kiszot*, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami G. Dorégo.
81. Edmund Biernacki. *Istota i granice wiedzy lekarskiej*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. *Obrazy z życia na Wschodzie*, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.
84. Stanisław Grudziński. *Polpanek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. *Nad rzekami Babyłonu*. Powieść
87. Teodor Jeske-Choiński. *Historyczna powieść polska Studium krytyczno-literackie*.
88. Włodzimierz Zagórski. *Wybór poezyi*, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 91. *Pamiętniki Szymona Konopackiego*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzbński. *Nowelle*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.

Tom.

- I. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
92. S. M. Roguski. *Wilcze gardła*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 93, 94. *Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a*, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
95. Ks. A. Brykczyński. *Listy z Włoch o sztuce kościelnej*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami.
- 96, 97. Oskar Mysing. *Wróg Napoleona*, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. *Serce kamienne*, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. *Słowacy Ich życie i literatura*, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. *Całą siłą*, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- II. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej* z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
103. Gustaw Doliński. *Jak u nas chowano dzieci? (Zarys dziejów pedagogii polskiej)*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
104. Sewer. *Wśród pokus*, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
105. A. Seidel. *Transwaal i Boerowie*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami i mapką.
- 106, 107, 108. T. T. Jez. *Ci i tamci*. Powieść z czasów kampanii węgierskiej.
109. Julian Mohort. *Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu*, z ilustracjami.
110. Władysław St. Reymont. *Sprawiedliwie!* powieść z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
111. *Pamiętnik Generała Wysockiego*, z ilustracjami.
112. Jan de la Brète. *Mój Wuj i mój Proboszcz*, powieść z przedmową *Juliana Mohorta*.
- III. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej* z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
- 113, 114. Edward Foà. *Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustr.

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. *Rzeczy Widziane*, (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
116. Henryk Szuman. *Wspomnienia Berlińska i Poznańskie* (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara*.
- 117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choński. *Tyara i Korona*. powieść historyczna.

Tom.

- 121, 122. Dr. Lassar-Cohn. *Chemia Życia Codziennego*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. *Zmartwychwstanie*, powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- IV. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
126. John Ruskin. *Gałązka dzikiej oliwy*, w przekładzie W. Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
127. Włodzimierz Zagórski. *Humoreski*.
- 128, 129. Walerya Marrené-Morzowska. *Błędne koła*, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 130, 131. Szymon Konopacki. *Moja druga młodość*, trzeci i czwarty tom pamiętników.
132. Ewweli-Bej. *Suryawansa*. Powieść na tle życia Ormian tureckich.
- 133, 134. Dr. Józef Siemiradzki. *Szlakiem wychodźców*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, (z ilustracjami).
135. A. Komorowski. *Wspomnienia Pedchorążego*, (z ilustracjami).
136. Marcin Kukuczyn (Maciej Bencur). *Obrazki i Nowelle* z przedmową *Wawrzyńca Szrobara*.
137. Józef Korzeniowski. *Kolokacya*, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
138. Karolina Świetła. *Z naszych Walk i bojów—Oczarowana*, w przekładzie Maryi Czesławy, z przedmową *Bronisława Grabowskiego*.
139. Eliza Orzeszkowa. *Przy dochodzeniu śledczem*.
140. Edward Strumpf. *Obrazy Kaukazu*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami.
141. Wanda Grot-Bęczkowska. *Marzycielka*, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
142. Juliusz Słowacki. *Poezye liryczne i gnomiczne*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- V. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
143. Edmund Plauchut. *Chiny i Chińczycy*, w przekładzie H. Michałowskiego, z ilustracjami.
- 144, 145. Mikołaj Jósika. *Ostatni Batory*, z węgierskiego przełożył Antoni Lange, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 146, 147. Marya Rodziewiczówna. *Dewajtis*.
148. Józef Tokarzewicz (Hodi). *W dniach wojny i głodu*, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- 149, 150. Dr. Sven Hedin. *Przez pustynie Azji*, w przekładzie Wiktora Doleżana, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami.
151. Jonasz Lie. *Ideolog*, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.

Tom.

152. T. T. Jeż. *Jaskółki*.
153. Wiktor Gomulicki. *Opowiadania o Starej Warszawie*, z ilustracjami.
154, 155, 156. Karol Rais. *Patryoci z zakątką*, w przekładzie J. Kietlińskiej-Rudzkiej.
157. Dr. Maks Pettenkofer. *Powietrze i zdrowie*, w przekładzie Maryana Sępowskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
158, 159. Marya Rodziewiczówna. *Na wyżynach*.
160. Ks. Augustyn Kordecki. *Pamiętnik Oblężenia Częstochowy*, z ilustracjami.
161. Anna Neumanowa. *Zo Świata*.
162. M. Szukiewicz. *Z ziemi fjordów i fjeldów*.
163. Klemens Junosza. *Dworek przy cmentarzu*.
VI. Piotr Chmielowski. *Historia Literatury Polskiej*, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.

Rok 1901.

164. Michalina Domańska. *Brzydka*. Powieść.
165, 166. Antoni Fogazzaro. *Malombra*, z przedmową *W. Marrené-Morzkowskiej*.
167, 168. Artur Gruszecki. *Na wyścigach*. Powieść.
169, 170, 171. W. Doroszewicz. *Sachalin*, z ilustracjami.
172, 173. O. Ludwik Coloma. *A pfe! — Tumany i kałużo*, z przedmową *Hajoty*.
174, 175. Marya Rodziewiczówna. *Błękitni*. Powieść.
I. Julian Adolf Święcicki. *Historia Literatury Powszechnej*. — *Literatura Babilońsko-Assyryjska i Egipska*. (T. I).
176, 177. Ernest Lavise, Alfred Rambaud i in. *Napoleon I w świetle najnowszych badań*.
178, 179, 180. Hr. Alfred de Vigny. *Cinq-Mars*, przetłóżył Witold Łaszczyński.
181. Ludwik Ariosto. *Orland oszalały*, w przekładzie Felicyana.
182, 183. Rudyard Kipling. *Od morza do morza*, przekład z angielskiego M. G.
184. Knut Hamsun. *Wiktorya*. Historia miłości.
185, 186, 187. Karol Dickens. *Powieść o dwóch młastach*, w przekładzie i z przedmową *Hajoty*.
II. Julian Adolf Święcicki. *Historia Literatury Powszechnej*. — *Literatura Chińska i Japońska*. (T. II).
188. Teodor Jeske-Choiński. *Trubadurowie*, z przedmową *Autora*.

Tom.

189. Matylda Serao. *W biurze telegraficznem*.
190, 191. T. T. Jeż. *Z ciężkich dni*.
192, 193. Paweł Bourget. *Widmo*, tłómaczyła Br. Neufeldówna.
194. El. (Kazimierz Laskowski). *Wiersze i Śpiewki*, z przedmową *A. Września*.
195. Stefan Krzywoszewski. *Pani Julia*, z przedmową *A. Września*.
196. Juliusz Zeyer. *Jego i jej świat*, tłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka, z przedmową *A. Września*.
197, 198. Slatin-basza. *Przez Sudan ogniem i mieczem*, tłómaczył Włodzimierz Trampezyński.
199, 200. Eugeniusz Mottaz. *Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre*, przełożyła Jadwiga z Chmielowskich Baranowska, przejrzał i objaśnił *Stanisław Krzemiński*.
III. Julian Adolf Święcicki. *Historia Literatury Powszechnej*. — *Literatura Arabska*. (T. III).
201. Gomulicki Wiktor. *Wiersze*. Zbiór nowy.
202, 203, 204. Ks. Bolesław Maryański. *Ester Powieść*.
205. E. Brausewetter. *Finlandya w oświetleniu literackiem*. Opracowała Gabriela Plewińska.
206, 207. J. Sielski. *W pół drogi*. Opowiadanie.
208. Dr. Henryk Biegeleisen. *Pamiętnik J. Słowackiego*. Z ilustracjami.
209. Aleksander Wybranowski. *Ongi w dworach i dworkach szlacheckich*.
210, 211. Piotr Leroy-Beaulieu. *Nowe społeczeństwa Anglo-Saksońskie*, tłómaczył Klemens Podwysocki.
112. Świętopełk Czech. *Jastrząb contra Hordliczka*, tłómaczył Paweł Laskowski.

Wszystkie te dzieła nabywać można oddzielnie w cenie 25 k. za tom broszurowany, lub 40 k. w oprawie, z wyjątkiem dzieł oznaczonych *, których cena od N. R. 1900 podniesioną została na 40 k., oznaczonych **, które kosztują obecnie 50 k., oraz oznaczonych ***, które się liczą po 60 k.

Na przesyłkę każdego tomu, w oprawie lub bez oprawy, dołącza się 10 k.

Ilustr. „Hist. Lit. Pols.“ Chmielowskiego sprzedaje się oddzielnie po rb. 2 za tom, z przesyłką 2 ruble 20 kop., zaś „Historia Literatury Powszechnej“ J. A. Święcickiego po rb. 1 kop. 50, z przesyłką rb. 1 kop. 70 za tom.



Biblioteka Główna UMK



300048831333

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1226130

Biblioteka Główna UMK



300048831333